60 gr.

Ilustrowany Tygodnik Polski

№ 35
9.X.27



Każdy z naszych Prenumeratorów ma prawo bezpłatnego zamieszczenia raz na miesiąc w rubryce poniższej ogłoszenia dowolnej treści, nie przekraczającego pięciu wierszy tekstu. Wrazie przekroczenia ilości wierszy, dopłaca po złoty jeden od każdego wiersza następnego. Dla wszystkich innych ogłoszenia są płatne po zł. 1 gr. 20 za wiersz.

STENOGRAFJI 10 listów do nauki Sekułowicza oraz 6 listów kaligrafji nakładem kursów handlowych do nabycia w księgarniach lub na kursach. — Warszawa, ul. Żórawia 42.

GIMNAZJALNE KURSY (maturalne) półroczne, koedukacyjne wieczorowe. T. Łebkowskiego, Wspólna 24. Zapisy od 5—7 wiecz.

„LINGVAE", E. DEB'a Smolna 30. Szkoła języków. Poza wykładami: kino, czytelnia.

W 15 LEKCJACH **pięknie** pisać wyucza i poprawia najbrzydszy charakter pisma Kaligraf Wolter, Wspólna 58—2. Zapisy 6—8.

MUZYKI dorosłym, dzieciom udziela pianistka (ukończyła konserwatorjum) rutynowana nauczycielka. Porozumieć się telefonicznie pod nr. 205-86.

SAMOCHODOWA Szkoła Inżyniera Froma. Najdogodniejsze wpłaty. Najlepsi wykładowcy. Warszawa, ul. Żórawia 40.

FUTRA kupuję, płacę najwięcej. Warszawa, ul. Niecała 1, sklep „Futro Okazja".

MEBLE NA RATY do 12 miesięcy stałym i poleconym klijentom bez zaliczki daje magazyn mebli Franciszka Brzozowskiego. Nowy Świat 49. I piętro (dawniej Elektoralna 1). Wielki wybór: sypialni, jadalni, gabinetów, salonów, kredensów, stołów, szaf, zegarów, biurek, otoman, leżaków i mebli giętych.

BURKI podróżne, futra, palta z futrem, angielskie palta demisezonowe, kurtki do polowania na barankach, kościuszkowskie do gospodarstwa, skórzane kurtki szwedzkie, garnitury marynarkowe, sportowe, smokingowe. Palta damskie pluszowe. Wybór wykwintnej garderoby gotowej, futer zamówienia: elki, oposy, cybety, piżmowce, foki. Przeróbki tylko ten miesiąc. **Wyprzedaż tanio!** Warszawska Spółka Chrześcijańska Wilcza 57 — 2, tel. 176-91.

PATEFONY, PARLOFONY instrumenty muzyczne w wielkim wyborze, oraz płyty najnowszych nagrań, na dogodnych warunkach, po cenach najniższych poleca „Lutnia", Marszałkowska 68.

UNDERWOODY i inne maszyny do pisania i liczenia, najtaniej. Senatorska 24.

ZBIERAM pocztówki, koperty, opaski gazetowe: wojenne, legjonowe, lokalne, wystawowe, lotnicze, pamiątkowe i t. p. z polskich ziem. Witold Kamiński. Grudziądz, ul Głowackiego 7.

FOLWARK pięciowłókowy, blisko Warszawy, pszenno-buraczanej ziemi sprzedam okazyjnie, drugi dwuwłókowy, lewy brzeg Wisły blisko tramwaju elektrycznego, ładne zabudowania, rzeczka, wybór innych większych, mniejszych objektów ziemskich polecamy Skarzyński, Żórawia 40—9.

MAJĄTKÓW **ziemskich** do parcelacji poszukuje Biuro inżyniera - agronoma Ignacego a Denau Szpindlera, upoważnione przez Okręgowy Urząd Ziemski w Warszawie, Mianowskiego 8, telefon 516-82.

CARBOLINEUM prawdziwe, gwarantowane, naturalne drzewne, marki „Żub" zabezpieczające drzewo od gnicia, nagrodzone medalem złotym na Wystawie Sanitarnej; terpentynę, oleje żywiczne i smołę drzewną poleca Szka Ako. „Terebenthen", Warszawa. Złota 62. telefon 263-90.

WSPÓLNIKA (czki) poszukuje fotograf. Posiada 25 lat praktyki, aparaty oraz przybory, potrzebne do zakładu fotograficznego, oraz dobre imię. Od wspólnika (czki) wymagany jest kilkopokojowy, skromnie umeblowany lokal z werandą na prowincji, fachowość zbyteczna, w rok czasu nauczę gruntownie fotografji, ażeby uniezależnić od długotrwałej spółki. Pierwszeństwo mają miasteczka z oświetleniem elektrycznem. Oferty: „F. A." do redakcji „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego".

KUPIĘ „Encyklopedję staropolską" Glogiera, „Słownik gieograficzny" i „Słownik języka polskiego" Lindego. Oferty ze wskazaniem ceny proszę nadsyłać do redakcji „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego" dla „R. K."

DUBELTÓWKĘ dwunastkę, bezkurkową, dobry strzał, kupię za gotówkę. Oferty pod „Celny strzał" do redakcji „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego".

BUCHALTER-**korespondent**, wybitny handlowiec-bankowiec posiadając rozległe stosunki w sferach finansowych i bankowych, poszukuje pozabiurowego zajęcia. Mokotowska 16 mieszk. 10.

BUCHALTER - BILANSISTA, były kontroler Izby Skarbowej, specjalista podatkowiec, poważne referencje, poszukuje posady stałej, dorywczej. Telefon 115-68.

INTELIGENTNA, solidna, młoda przyjmie posadę samodzielnej gospodyni, ewent. do wyręczenia pani, lubi dzieci, zna gospodarstwo wiejskie i domowe. Łaskawe oferty: Bydgoszcz, Jasna 17, Feder.

OD WYDAWNICTWA **Rozszerzając i ulepszając „Ilustrowany Tygodnik Polski", który zyskał sobie powszechne uznanie i wziętość, dla pokrycia kosztów wydawnictwa, związanych z powiększeniem materjału redakcyjnego i rysunkowego, podnieśliśmy prenumeratę, poczynając od października r. b., na złotych 2 miesięcznie wraz z przesyłką na miejsce. Pomimo to, biorąc pod uwagę objętość i formę, „Ilustrowany Tygodnik Polski" nie przestaje być najtańszą ilustracją polską o barwnej, urozmaiconej i bogatej treści. Zapowiadając przy zmienionych warunkach prenumeraty szereg dalszych zmian i ulepszeń ku zadowoleniu naszych Czytelników, co rozpoczęliśmy już od numerów bieżących, wierzymy, iż wszyscy Czytelnicy poprą nasze usiłowania i nie odmówią swej przyjaźni i życzliwości, zmierzając wraz z nami do jeszcze pełniejszego rozwoju i rozpowszechnienia „ILUSTROWANEGO TYGODNIKA POLSKIEGO".**

Opłata pocztowa ryczałtem 9—16 października 1927 r. Cena 60 gr.

Ilustrowany Tygodnik Polski

CENA PRENUMERATY:
Miesięcznie . . Zł. 2.—
Kwartalnie. „ 6.—
Półrocznie. . . „ 12.—
Rocznie . „ 24.—

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
Warszawa, Miodowa 5, tel. 28-33
Administracja czynna od godziny 9-ej do 4-ej p. p. Redakcja czynna od 10 do 4-ej p. p. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-ej p. p. Rękopisów nadesłanych fotografij i rysunków Redakcja nie zwraca.
Konto P.K.O. Nr. 14315 Konto P.K.O. Nr. 14315

DLA PRENUMERATORÓW CO TYDZIEŃ OSOBNY DODATEK POWIEŚCIOWY W ARKUSZACH KSIĄŻKOWYCH I NAGRODY ZA ROZWIĄZANIE ZADAŃ

Rok I. Warszawa - Kraków - Lwów - Poznań - Wilno - Łódź - Gdańsk Nr. 35

Kartki z raptularza

NASZA ILUSTRACJA TYTUŁOWA Jesienne mgły już wloką się po polach. Coraz zimniej i słotniej. Przyroda zamiera, by wkrótce pod całunem białego śniegu znaleźć lodowy grób i zbudzić się nanowo pod urokiem przyszłej wiosny. A tymczasem wciąż smutniej i markotniej.

Pasterz, już w jesiennym przyodziewku, chodzi po zamierającej niwie, posępny i zadumany, jak natura, z którą się zżył — on, syn jej najbliższy i wierny.

I POCO DRĘCZYĆ MOWĘ? Podobno we Włoszech Mussolini wydał zakaz, zabraniający używania w pismach publicznych wszelkiego rodzaju bezmyślnych superlatywów, które ze zwykłych, a często głupich i banalnych rzeczy robią giewałt i rwetes.

Zdałoby się to i u nas.

Że w dziedzinie kina i sportu wszystko same „asy", „super-asy", „hyper-super-nad-królowe", to nic dziwnego, gdyż tam ogłupienie dochodzi wprost do zenitu, ale po kiego djabła zaraza ta przenika do literatury, to już nie do darowania.

A przecież zaczynamy już czytać o pojawieniu się powieści, która ma przedstawiać „gigantyczne zmagania miljonowych armij" i „fascynujące dzieje wojny przyszłości".

Dowiemy się wkrótce, iż napisał ją „super-as" literacki, drukować będzie „hyper-pismo", a wyda „super-hyper-arcy-nakładca".

Słowem — powszechna super-warjacja!

PROPAGANDA GAZOWA Tydzień obrony gazowej zrobił swoje. Uświadomił szerszy ogół o grozie gazów na wypadek wojny i potrzeby organizowania się dla samoobrony.

Trzeba przyznać, że tym razem Towarzystwo Obrony Przeciwgazowej zakrzątnęło się umiejętnie i zapewne nie bez rezultatu na przyszłość.

Ale...

Jeżeli chodzi o propagandę obrazkową, która najłatwiej przenika do ogółu, to ostatnio rozlepiony plakat, wyobrażający skrzywioną twarz dżentelmena w smugach dymu, był chybiony.

Robiło to wrażenie, iż pan źle się czuje po wypaleniu kiepskiego cygara.

A przecież chodziło o grozę dymów gazowych, mających zatruć go, jak szczura...

Nie było grozy ani uplastycznienia potrzeby organizowania samoobrony gazowej.

Świetnie natomiast powiódł się w stolicy wielki pokaz wojny gazowej. Udział w pokazie wzięły wszystkie rodzaje broni, a więc piechota, kawalerja, artylerja i lotnictwo. Efektowny atak gazowy wraz z zasłoną, z poza której wyłoniły się siejąc śmierć i zniszczenie tanki, wzbudziły niemały podziw w widzach, którzy w liczbie kilkunastu tysięcy zgromadzili się na polu Mokotowskiem. Co odważniejsi wypróbowali na sobie działanie gazów łzawiących. Huk dział, ostrzeliwających eskadry samolotów nieprzyjacielskich, terkot karabinów maszynowych i ręcznych i efektownie przeprowadzone działanie wojenne w związku z gazami, dały warszawianom minjaturowy obrazek przyszłej wojny chemicznej.



PIĘKNA INICJATYWA. Grono obywateli m. Warszawy, zamieszkałych w okolicach historycznego kościołka na Woli, zaprosiwszy do współpracy miejscowego proboszcza ks. prałata Prądzyńskiego, podjęło piękną i szlachetną inicjatywę uczczenia bohaterskiej śmierci gen. Sowińskiego z okazji zbliżającej się stuletniej rocznicy walk o niepodległość z 1830-31 roku.

Walki te obfitowały w wiele bohaterskich wysiłków, a nieliczne tylko imiona bojowników przeszły do historji, zapisując się na złotej tablicy bohaterów.

Jednym z nich był bezsprzecznie generał Sowiński, który, broniąc szańców Woli, zginął śmiercią walecznych, jako ostatni kanonier ostatniej polskiej armaty.

Wiek już mija od tej chwili.

Zapomniane i zaniedbane jest miejsce jego wiecznego odpoczynku.

Krzyż drewniany, postawiony przez mieszkańców okolicznych przed dziesięciu laty, chyli się ku upadkowi, a wokoło, ponieważ moskale złośliwie założyli tu swego czasu cmentarz prawosławny, stoją dumnie pomniki zaborców. Krew uderza do głowy, gdy patrzymy na wspaniały pomnik słynnego gwałciciela duszy polskiej, Apuchtina.

Po długim mroku jarzma, piękna inicjatywa mieszkańców Woli i wojska winna znaleźć poparcie w całym narodzie polskim.

Wielkiemu obrońcy wielkiej reduty ma być usypany kopiec.

Z. Jastrzębiec.

Z mojej karjery... Wywiad XXXI

Tadeusz Kończyc

Perypatetykami w starożytnej Helladzie zwano cichych mędrców, co, chodząc po wybrzeżu morskiem lub w słodkim cieniu drzew, prowadzili długie dyskusje, siejąc ziarna swej myśli wśród postępujących za nimi uczniów.

Z huczącej życiem Ameryki, gdzie każda minuta ma swoje przeznaczenie, przyszedł ponoć ten zwyczaj, by dziennikarz, jak ongiś ów starogrecki uczeń, uczepiony poły skazanego na „interview", byle gdzie i byle jak, o najpoważniejszych bodaj zagadnieniach, rozprawiał i notował szkic przyszłej „copy", choćby na plecach u swojej ofiary.

Okazuje się, że i w miłej naszej stolicy, można być „perypate-interviewistą", i to, mając do czynienia, ani z królem żelaza, bo takiego niema, ani z królem finansów, bo takiego chyba nie będzie, ale z cichym poetą i marzycielem, Tadeuszem Kończycem.

Bywa i tak.

A gdy nawiążemy miłą nić starych wspomnień, to i cóż nam ulica z jej gwarem i zgiełkliwym tłumem?

— Karjerę swą — opowiada nam miły mistrz rytmów i rymów — rozpocząłem dość wcześnie.

Było to w roku 1898. Miałem 17 lat. Pewnego razu wśród nocnej ciszy poczułem muśnięcie skrzydła natchnienia, wstałem z łóżka i napisałem swój pierwszy „utwór".

Przeznaczenie...

Czyż mogło być inaczej, gdy wychowanie moje płynęło wśród wybitnie literackiego otoczenia, pod troskliwą opieką ojczyma mego Władysława Korotyńskiego, ówczesnego naczelnego redaktora „Kurjera Warszawskiego" i matki mojej, Wandy Grot - Bęczkowskiej, której imię zaszczytnie zapisane zostało w literaturze.

Drżąc ze wzruszenia, postanowiłem powierzyć ten pierwszy utwór Marjanowi Gawalewiczowi, redaktorowi „Tygodnika Polskiego".

Wyjechałem na wakacje, podczas których nieraz myślałem o losach swego utworu. To też, pierwszą rzeczą, gdy powróciłem do Warszawy, było kupić „Tygodnik". Trudno opisać moją radość, gdy ujrzałem w nim moje „Nad Pilicy brzegiem", gdy przekonałem się



TADEUSZ KOŃCZYC
utalentowany poeta
fot. Gürtler.

naocznie o tym pierwszym sukcesie moich marzeń.

A że jedno szczęście ciągnie drugie za sobą, więc, w krótkim czasie „Dziennik dla wszystkich", wychodzący wówczas pod redakcją ś. p. Henryka Michałowskiego, pomieścił mój pierwszy artykuł.

W kilka dni później otrzymałem wezwanie, bym zgłosił się do redakcji „Dziennika".

Jak iść? W mundurku uczniowskim? Za nic na świecie. Postanowiłem pójść po cywilnemu, a dla większej powagi odpowiednio hodowałem zarost i przygotowałem sobie nawet okulary.

Nie prędko pozbyłem się tego maskaradowego przebrania, wkrótce bowiem udało mi się nawiązać kontakt stałej współpracy w „Dzienniku dla wszystkich" i za nicbym nie wydał swego incognito.

Ile trzeba było przebiegłości, by nie natknąć się przypadkiem w sztubackim mundurku na redaktora. Ileż to razy czmychałem, jak niepyszny, na drugą stronę ulicy, a raz, na pogrzebie kogoś z ówczesnych znakomitości, ledwo nie „wpadłem", natknąwszy się znienacka oko w oko z redaktorem.

Poezja wszakże i pierwsze sukcesy nie oderwały mnie od prozy życia.

Po skończeniu gimnazjum udałem się na studja rolnicze, które przerwałem, by w marcu roku 1901 powrócić do literatury i zostałem nawet redaktorem wespół z Leonem Reinschmidtem, z którym nabyliśmy „Tygodnik Polski".

Mimo iż w roku 1904 powróciłem na rolę i gospodarowałem na rodzinnym zagonie w Sochaczewskiem, nie porzuciłem literatury. Stale, w ciągu 11 lat pobytu na wsi, obdzielałem kilka wydawnictw swoimi utworami. Najmniej pisywałem do „Kurjera Warszawskiego", a to przez wzgląd na mego ojczyma, który odznaczał się szczególną wrażliwością na punkcie pozoru nawet faworyzowania kogokolwiek w redakcji.

Dopiero za redakcji ś. p. J. Brzezickiego i nieodżałowanej pamięci Konrada Olchowicza zacząłem występować jako stały delegat „Kurjera" na zjazdach i wystawach rolniczych.

Jak wielu innych, niosłem ciężkie obowiązki społeczne: wybierany przez ludność miejscową na sędziego, pełnomocnika do senatu, a od roku 1914 występując, jako prezes Komitetu Obywatelskiego, całkowicie byłem zaabsorbowany sprawami publicznemi.

Te zajęcia nie pozwoliły mi obronić majątku przed skutkami wojny. W roku 1915 nic mi nie pozostało z warsztatu pracy i doszczętnie zrujnowany, zarówno moralnie jak i materjalnie, przyjechałem do Warszawy.

Tu ś. p. Konrad Olchowicz, redaktor naczelny „Kurjera Warszawskiego", którego pamięć żyje i żyć będzie w mem sercu, widząc stan depresji moralnej, jaka mnie ogarnęła, wciągnął mnie na stałe do pracy dziennikarsko-literackiej, która pozwoliła mi zapomnieć o ciężkich przejściach lat wojennych.

Chyba, że dodam jeszcze, by zadość uczynić klasycznym wymaganiom wywiadu, iż najmilszem wspomnieniem z mojej karjery, to radość, którą mi sprawiło wydrukowanie pierwszego utworu, no a zawodu doznać można tylko wtedy, gdy się ma zbyt wygórowane pojęcie o własnej wartości. Nie zaznałem takiego uczucia, gdyż wolałem, by inni mnie raczej sądzili. Zresztą książeczki moje skromne jakoś się dobrze rozchodzą.

Z Wystawy sztuki czeskiej w Warszawie

Czesi i Polacy...

Pobratymcze, z jednej kolebki słowiańskiej powstałe narody, przez długie lata dzieliliśmy podobne losy, a skoro nawet w jednym momencie dziejowym zostaliśmy powołani do odrodzenia państwowego i dalsza przyszłość nasza zdaje się kształtować po wspólnej linji interesów, — więc czas najwyższy, byśmy starali się pogłębić te wzajemne stosunki, które pojedyńcze jednostki w obu narodach oddawna już nawiązały ze sobą.

To też z uznaniem powitać należy wspólną inicjatywę, która przyniosła do salonów warszawskiej Zachęty Sztuk Pięknych pierwszą w Polsce kompletną — retrospektywną i współczesną — wystawę sztuki czeskiej, zebraną z wyjątkowym pietyzmem przez wybitnego znawcę sztuki, prof. Wacława Stecha z Pragi.



Grupa komitetu honorowego Wystawy sztuki czeskiej w Warszawie



Julius Marak: Dąb.

— — — — — — — —

Zbliżenie pomiędzy artystami obu narodów datuje się od dawna.

O ile przed wielu laty, duch sztuki czeskiej wywierał poważny wpływ na kształtującą się w onym czasie sztukę polską, o tyle w końcu ubiegłego stulecia, twórcy współczesnej sztuki czeskiej, zjednoczeni w tak zwanej „Generacji Teatru Narodowego" chętnie w Polsce szukali dla siebie wzorów.

Ales, Brozik, Marak, Myslbek i inni, „Umelecka Beseda", założona przy udziale wielkiego artysty Mancsa, działacze społeczni, jak dr. Tyrs, wszyscy, będąc wielkimi entuzjastami sztuki polskiej, przyczynili się nawet do tegó, iż sprawa nominacji mistrza naszego, Matejki, na dyrektora Akademji w Pradze była bliską realizacji i rozbiła się tylko o odmowę, po niemałym namyśle, ze strony polskiego artysty.

W dziełach Alesa i w licznych studjach Manesa przejawia się ten sam duch, który ożywiał ówczesnych naszych artystów: umiłowanie do eposu historycznego, jako wyraz dążenia do urzeczywistnienia programu sztuki narodowej.

Jak żywe plamy wybitnego indywidualizmu wśród tego dość konwenansowego historycznego klasycyzmu, występują w tym czasie ba-



Jan Stursa: Portret Prezydenta Masaryka.



Antonin Slavicek: Złota uliczka.

jecznie kolorowe i dekoracyjne płótna Navratila.

Umiłowanie natury i najprostsze jej pojmowanie cechuje twórczość największego czeskiego pejzażysty, Maraka.

Podobną, aczkolwiek opartą na wzorach francuskiej szkoły, jest twórczość Chittussiego.

U Schweigera znów przebija wpływ Holendrów i Flamandczyków, a więc pewna fantastyczność, w którą ubrane są jego krajobrazy i typy ludowe.

Cermak, Barvicius, Purkyne — to romantycy, wzorujący się na szkole francuskiej, której duch wnieśli do sztuki czeskiej.

Hynais, wytworny paryżanin, lubuje się w bajecznych efektach kolorów.

Melancholijny Preistler, impresjoniści — Slavicek, Jiranek, potężny talent, zarówno w rzeźbie, jak i malarstwie — Stursa, mistrz nad mistrze, wychowawca podziwianego Stursy, artysta, którego dzieła stanowią światowy ewenement, to Myslbek, sumienny i realistyczny rzeźbiarz.

Długa lista artystów, których dzieła podziwiamy na wystawie poważnie świadczy o intensywności rozwoju sztuki czeskiej.

Przedziwną lekkością i olbrzymią indywidualnością tchną dzieła akwarelistów i grafików — Swabińskiego, Sedlacka, Stettiego, Simona i innych. Dział ten jest bodaj najpiękniejszym na wystawie, a bogactwo tych eksponatów, w których barwnie przedstawione są najbardziej malownicze widoki Czechosłowacji, stanowią niezmiernie cenny i znakomicie zebrany materjał propagandowy.

Powszechna dążność u wszystkich „młodych" do poszukiwania formy, niczem nie różni Czechów od innych artystów ostatniej doby. Tendencja ta znajduje swój wyraz w ostatnich dziełach Stursy, w twórczości Kubisty, Guttfreunda i innych.

Obok malarzy i plastyków, architektura pod wodzą Kotery, daje nam bogatą skalę twórczości, obejmującą zarówno monumentalne gmachy, wzorowane na tak zwanym czeskim renesansie, jak również ludowe motywy o prostych płaszczyznach, które się spotykają w bezpretensjonalnych i gustownych zabudowaniach osiedli.

— — — — — — — —

Wytrawny i głęboki krytyk sztuki, St. Pieńkowski, znakomicie uwydatnił różnicę pomiędzy malarstwem polskiem a czeskiem, pisząc:

Malarstwo czeskosłowackie znacznie różni się od polskiego w charakterze kolorytu. Jakgdyby słońce inaczej świeciło w Czechosłowacji, niż w Polsce. Moż nawet świeci trochę inaczej. Dla wrażliwych oczu malarskich, kilka stopni szerokości geograficznej, kilkaset metrów wyżej lub niżej ponad poziomem morza, klimat nieco mniej morski, różnice gleby i topografji — dają różnice wrażeń, których zwykły widz jeszcze świadomością swą nie chwyta.

Jednakże główna przyczyna różnic kolorystycznych musi tkwić głębiej — w zbiorowej duszy narodu. Gdy dwaj malarze — Czech i Polak pojadą do Italji, będą przyrodę jej malowali w dwóch zasadniczo, gatunkowo, czyli narodowo różnych kolorytach. Stanowi to dodatnią i poetyczną wartość istnienia różnych narodów: biologiczną pracą pokoleń stwarzają one mocne podstawy dla indywidualności ludzkich.

Koloryt czeskosłowacki jest cięższy, poważniejszy i smutniejszy od polskiego. Widać to nietylko w dziełach sztuki klasycznej, romantycznej i realistycznej, ale nawet w wybuchowej kolorystyce impresjonizmu. Widz polski nie znajdzie w malarstwie czeskosłowackiem tej górnej i efektownej skali kolorytu, której go nauczył Pankiewicz (w swoim okresie impresjonizmu), Wyspiański, Fałat, Wyczółkowski, Stanisławski oraz liczni ich następcy.
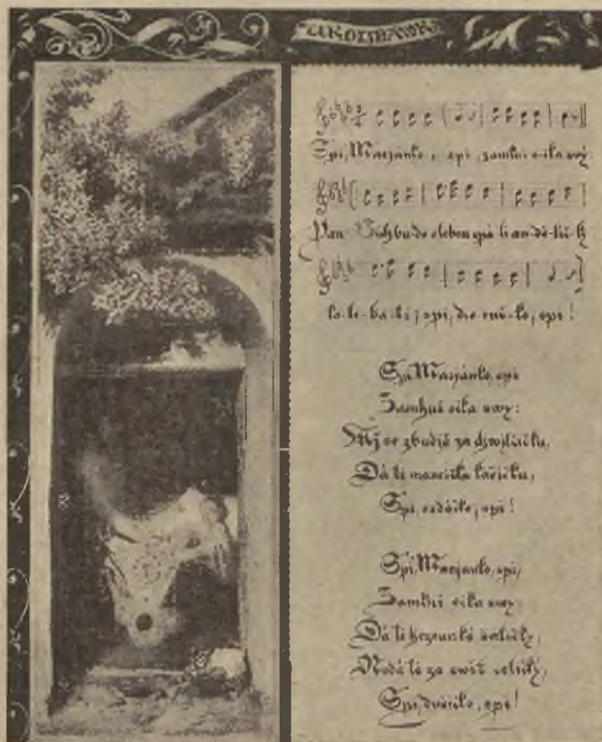
W najdalej posuniętych pochwałach i zachwytach dla słonecznej palety barw, malarstwo czeskosłowackie nie opuszcza tonacji minorowej, spokojnego umiaru tak w skali, jak i w harmonji. Temu temperamentowi oka towarzyszy siłą rzeczy pewien stały nastrój lekkiej melancholji w dziełach impresjonizmu czeskósłowackiego, zaś wielkiej solidności i powagi w malarstwie innych kierunków.

Mniejsza rozlewność uczuciowa, większe skupienie woli, silniejsza objektywizacja świata zewnętrznego — oto następny szereg cech, różniących malarstwo czeskosłowackie od polskiego, w zakresie poetycznego stosunku artysty do przyrody. Uwidocznia się to szczególnie w krajobrazach.

— — — — — — — — —



Karel Purkyne: Sowa śnieżna.



Józef Manes: Kołysanka.

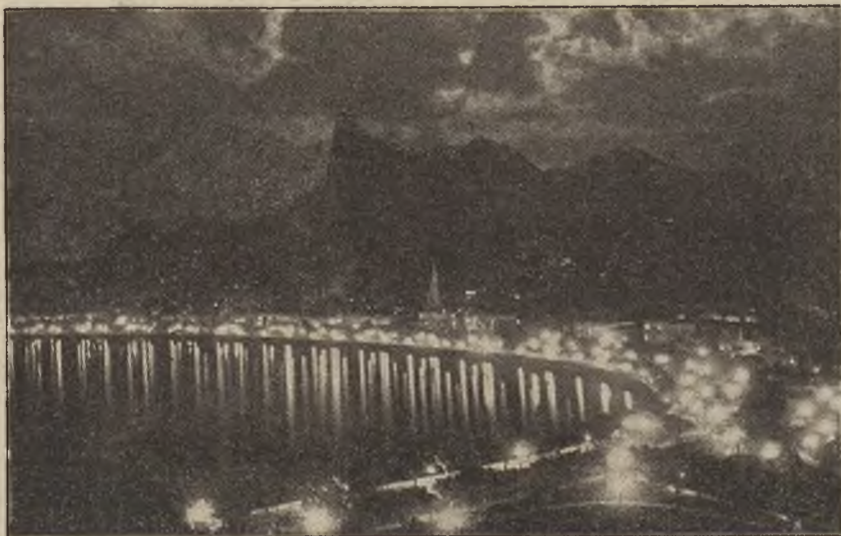
W krótkim tym zarysie postaraliśmy się dać ogólny obraz tej ciekawej i pożytecznej wystawy.

Na zakończenie podkreślić musimy godną podziwu organizację wystawy, w której każdy szczegół pomyślany był z imponującym pietyzmem i sumiennością, dzięki czemu mogliśmy istotnie zapoznać się ze sztuką czeską.

Wrażenia Polaka z Brazylji

(Korespondencja własna „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego“)

Po 14-dniowej podróży, odbytej na jednym z największych trans-oceanicznych statków, należących do „The Royal Mail Line Asturia-sem“, nocą wpłynęliśmy w zatokę Guanabary.

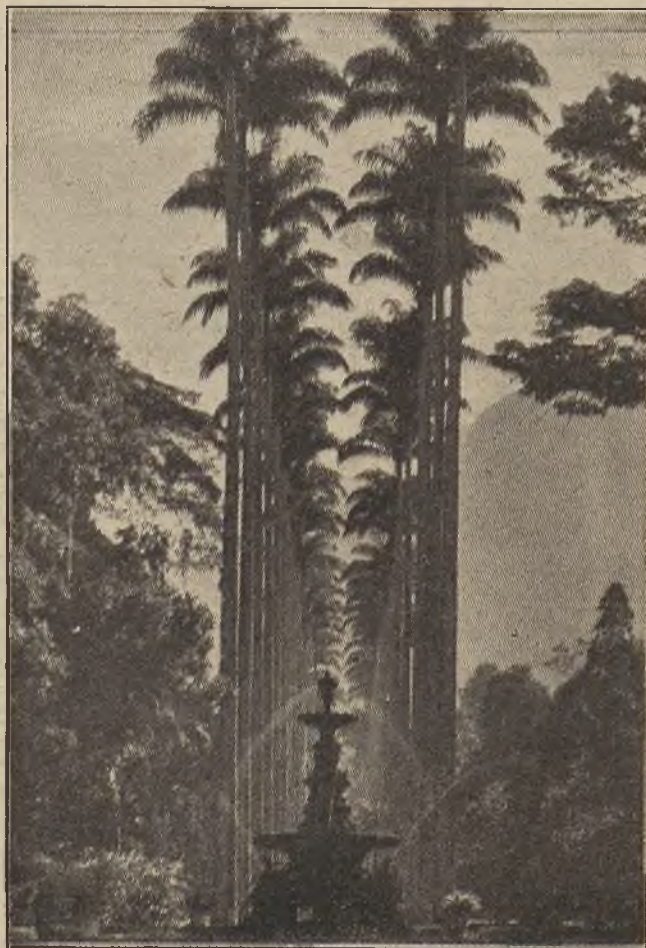


Nocna panorama Rio-de-Janeiro

Ciemności nie pozwalały się rozejrzeć, rozpraszało je jedynie parę gwiazd i sierp księżyca, chowającego się co chwila za chmury. Po obu stronach statku widać było tysiące światełek, które wabiły wszystkiemi kolorami. Znaleźliśmy się na środku jakby ogromnego jeziora, otoczonego górami.

Z daleka odróżniały się swemi kształtami Garbaty-Corcovado i Pao d'asucar (głowa cukru). Pierwszy wznosi się na południu zatoki i bodaj że jest najniższym szczytem z najwyższych na ziemi.

Wczesnym rankiem oczekiwano przybycia rewizji celnej, sanitarnej i paszportowej. Mimo zadośćuczynienia formalnościom emigranci na ląd nie wysiadają jeszcze. Małemi statkami przewożą ich wgłąb zatoki na „Wyspę Kwiatów“ (Ilha da Flores), gdzie wśród wspaniałej roślinności, gajów bananowych i bambusowych oraz różnokolorowych kwiatów, mieści się brazylijski dom emigracyjny.



Rio-de-Janeiro znane jest z najpiękniejszego ogrodu botanicznego na świecie

Tu odbywa się meldowanie i sprawdzanie dokumentów, poczem dopiero można powrócić na ląd. Ci zaś, którzy nie mają jeszcze pracy, mogą przez pierwsze pięć dni mieszkać i żyć na koszt rządu brazylijskiego, ewentualnie potem mogą jeszcze pozostać dłużej za minimalną opłatą.

Przyjrzyjmy się życiu, od jakiego rozpoczynają swe bytowanie emigranci.

Wszystkie budynki, przeznaczone dla nich na „Wyspie Kwiatów“ są z żelaza i betonu. W środku każdego z nich znajdujemy sale jadalne, z których wychodzą korytarze. Przy każdym korytarzu mamy po kilkanaście pokoi familijnych, obok zaś sale sypialne ogólne. Wszędzie panuje wzorowa czystość i wentylacja. Z tego, co mówią emigranci, słyszymy, że pożywienie jest obfitem, z początku jednak nie każdemu trafia do gustu.

Jadąc z pięknej „Wyspy Kwiatów“, mija się wiele wysp pagórkowatych, pokrytych nadzwyczaj bujną roślinnością drzew i krzaków. Tworzą one wraz z górzystym lądem stałym, właściwie półwyspem, wysuniętym między zatoką a oceanem, mnóstwo zacisznych zatok.

Brazylja — to państwo ogromne, zajmujące ponad 8 miljonów klm. kwadratowych. Według statystyki z dnia 4 maja 1927 r. ludność Bra-



Wyspa Kwiatów, na której mieści się dom emigracyjny

zylji wynosi 36.870.000 mieszkańców. Brazylja podzielona jest na 20 stanów, czyli państw, a tylko dla ogólnych spraw rzeczypospolitej istnieje w Rio de Janeiro parlament i rząd związkowy.

Na czele każdego stanu stoi własny prezydent.

Z powodu gorącego i wilgotnego klimatu większość stanów nie może wchodzić w rachubę dla kolonizacji, gdyż żaden Europejczyk znieść go nie może.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Brazylja zajmuje przestrzeń od 5,09 szerokości północnej nad równikiem do 33,45 szerokości południowej, to linja jej długości wynosi około 4 tys. kilometrów, z czego wynika, że znajdziemy tu wszystkie klimaty od zabójczego i najgorętszego w okolicach równika do całkiem łagodnego na samym południu, na pograniczu Urugwaju i Argentyny.

Stolicą Brazylji jest Rio de Janeiro. Nazwa ta pochodzi stąd, że kiedy kilkaset lat temu Portugalczycy odkryli zatokę, sądzili, że to ujście wielkiej rzeki, a ponieważ po portugalsku „rio" znaczy rzeka, a odkryli ją w styczniu, przeto nazwali zatokę Rio de Janeiro.

Samo Rio, mające do dwóch miljonów ludności, przedstawia się bardzo orginalnie, gdyż robi wrażenie, jakby nie było miastem jednolitem, a zbiorem rozmaitych miasteczek i przedmieść. Są tu ruchliwe dzielnice portowo-handlowe, osady fabryczne, wspaniałe górskie zacisza o ogromnych hotelach, przypominające miejsca kuracyjne Europy, z tą jednak różnicą, że toną w ogrodach o roślinności równikowej. Jest tu wiele ogrodów, jednak najwspanialszy jest botaniczny. Takiego może niema na całym świecie, bogactwo drzew wprost niezmierne. Wystarczy tylko widok długiej alei palmowej, wyłożonej białym marmurem. Drzewa te są ogromnej wysokości, proste, jak świece, z liściastemi czubami.

Przepych budynków, pałaców i placy jest niczem wobec piękna natury.

Emigrantowi pozostawać w Rio nie warto, gdyż miasto nie jest zdrowe. Wilgotny i gorący klimat sprawia, że ludzie szybko tracą siły, o zajęcie bardzo trudno, a nawet gdy się je dostanie, to mimo że jest i dobrze płatne, wielka drożyzna miejscowa nie pozwala na oszczędności. O tem, by się tu dorobił zwykły robotnik, ani marzyć...

Przemysłu w rękach tubylców prawie niema, wszystek przeważnie w rękach angielskich i niemieckich. Chcąc się więc do niego dostać, trzeba znać dobrze angielski, względnie być Niemcem, gdyż ci tylko swoich protegują.

Niemcy dzięki swej solidarności potrafili zająć takie stanowiska w Brazylji, że dziś mają swoje kościoły, szkoły i wszelkiego rodzaju związki muzyczne, sportowe i inne oraz kilka dzienników.

W polskich rękach, niestety, żadnego przemysłu niema. Są tu wyjątkowo dwa towarzystwa „Unia", przy Rua Lavradio, i „Polonia", przy Rua dos Invalidos, które pomagają przybyłemu do wyszukania pracy.

Rio de Janeiro, 2.IX 1927 r.

Mieczysław Mikucki.

Właściwy człowiek na właściwem miejscu

Konsulowie nasi, patronujący rodakom naszym na obczyźnie, to nietylko urzędnicy od załatwiania formalności paszportowych i zaświadczania dokumentów, lecz reprezentanci państwa polskiego w pełnem tego słowa znaczeniu, którzy winni dbać o wszystko to, co z Polaka wszędzie i zawsze czyni dobrego obywatela.

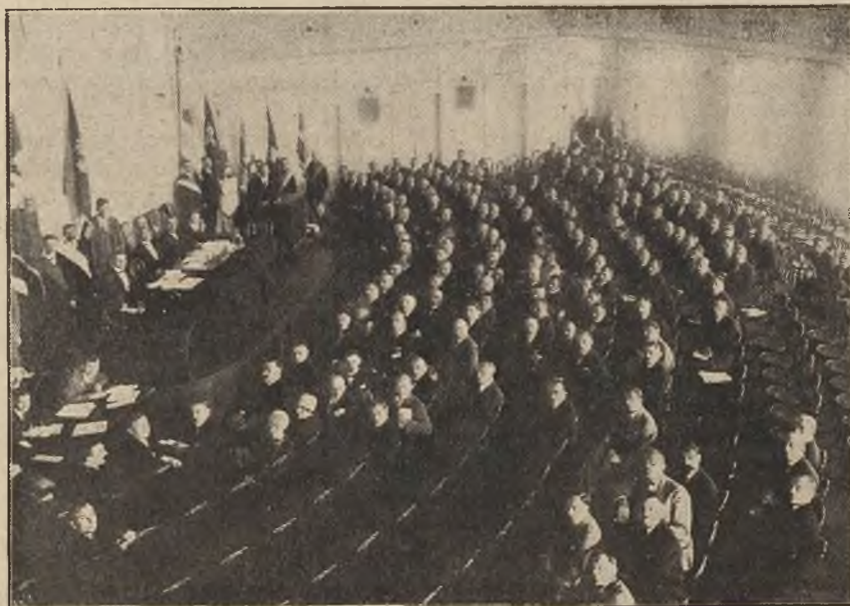
A cóż lepiej związuje Polaka na obczyźnie z macierzą, jeżeli nie dobra książka polska czy obraz treści narodowej, nie pozwalający zapomnieć mowy ojczystej i przypominający chwałę ziemi polskiej?

Stąd też na specjalne podkreślenie zasługuje owocna działalność naszego konsula w Buffalo, który — jak nam piszą — rozwinął szeroką akcję wśród rodaków, zmierzającą do ożywienia czytelnictwa polskiego, główną uwagę zwracając na dziatwę.

Dzięki inicjatywie konsula Rosickiego organizuje się w Buffalo *ad hoc* wyłoniony komitet polski, który ma na celu agitowanie za prenumeratą książek dla dzieci. Aby dopiąć swego, członkowie komitetu przynajmniej raz na miesiąc będą obchodzili wszystkie domy polskie.



Dr. Stefan Rosicki, konsul Rzeczypospolitej Polskiej w Buffalo w Ameryce, wydatnie przyczynia się do rozwijania czytelnictwa ojczystego wśród Polaków







Pod hasłem Zjazdów

Znamienny to i dodatni objaw życia publicznego w Polsce, stwierdzający, iż organizujemy się i skupiamy przy warsztatach wspólnej pracy.

Ostatnio w stolicy Rzeczypospolitej odbył się szereg zjazdów, z których notujemy:

Zjazd pocztowców

Zjazd ten o charakterze zawodowym miał na celu rozpatrzenie sytuacji pod kątem widzenia interesów materjalnych pracowników poczty i telegrafu, wśród których, jak wśród ogółu funkcjonarjuszy państwowych, warunki bytu są coraz cięższe i wymagają poprawy. Pomimo zwykłych w takich wypadkach prób wprowadzenia nuty polityczno-wiecowej prezydjum Zjazdu potrafiło utrzymać dyskusję w charakterze rzeczowym i zawodowym, nie dopuszczając do żadnych deklamacyj partyjnych.

Zjazd fotografów

Zjazd ten miał na celu zrzeszenie się i skupienie miłośników fotografji, których nie brak w Polsce, a że fotografja wyszła już z pieluch niemowlęctwa, przekształcając się z mechanicznej reprodukcji w dzieło sztuki, więc był ciekawy i niewątpliwie przyczynił się do podniesienia poziomu fotografij u nas, tak iż będziemy odtąd mogli śmiało stawać do walki o palmę pierwszeństwa z zagranicą.

Zjazd współdzielni budowlano-mieszkaniowych

Jakaż z bolączek bardziej dotkliwie daje się we znaki, niż brak mieszkań?

To też zjazd współdzielni budowlano-mieszkaniowych obudził powszechne zainteresowanie, tem więcej iż patronują mu osoby dzielne i znane z pracy i zasług na polu inicjatywy społecznej. Wymienimy chociażby: ks. senatora Jana Albrechta, posła Teodora Węgrzyka, inżyniera Janusza Dzierżawskiego, generała Rybińskiego i wielu innych, reprezentujących różne dzielnice Rzeczypospolitej.

Szczęść Boże!

Uroczystości w Leśnej

Podanie twierdzi, iż w roku 1683, ubogi pasterz, który o zmroku zawędrował wgłąb leśnieńskiego lasu w poszukiwaniu zaginionych kilku sztuk trzody, ujrzał nagle na dziko rosnącej na polanie gruszce, gorejące ogniami wyobrażenie Matki Boskiej. Zdumiony tem cudownem zjawiskiem pobiegł do wsi. Zdjęto obraz i pobożnie zaniesiono go do posiadłości Kazimierza Michałowskiego.

Wkrótce po tych wypadkach wyższe władze duchowne zasłyszały, iż skromny kościółek leśniański, mieszczący wizerunek Matki Boskiej wsławia się cudami, których doznają pobożni, wobec czego rozpoczęto zgodnie z kanonem dochodzenia i proces, zakończony w roku 1718 najwyższem przyznaniem cudownych własności świętemu obrazowi.

Po raz wtóry, w tak krótkim czasie, Podlasie święciło uroczyste chwile.

Olbrzymie tłumy wiernych zebrały się tym razem w Leśnej, spiesząc na powitanie cudownego wizerunku Matki Boskiej, który tu powrócił po długich latach tułaczki.

Gdy przed laty zaczęło się dla Podlasia bolesne i wiekopomne pasmo prześladowań, zaborcy, zdając sobie sprawę z pobożności szarego ludku tej ziemi i przywiązania jego do cudami słynącego wizerunku w Leśnej, umyślili, ze zwykłą sobie perfidją, użyć autorytetu Królowej Korony Polskiej dla swoich planów.

Więc mimo, iż cichy klasztor O. Paulinów w Leśnej, dzieląc dolę wielu świątyń katolickich i unickich na tej ziemi, miał zostać klasztorem prawosławnym, postanowiono pozostawić w nim cudowny wizerunek, by pod tym pretekstem nakłonić lud do odwiedzania twierdzy państwowej religji.

W roku 1915, po ewakuacji Rosjan z ziem polskich, mniszki prawosławne z Leśnej udały się do Jugosławji, uwożąc ze sobą wizerunek.

Napróżno po wojnie starano się o restytucję obrazu, gdy wtem, niespodziewanie, rozeszła się wieść, iż cudowny wizerunek znajduje się w posiadaniu S.S. Benedyktynek w Łomży, dokąd, przed laty, został w tajemnicy wywieziony przez rektora seminarjum w Janowie, ks. biskupa Szymańskiego.

Przy bliższem zbadaniu sprawy, okazało się że, istotnie, ks. Szymański, gdyby przeczuwając los klasztoru w Leśnej postanowił zastąpić cudowny obraz wierną jego kopją, a autentyczny ukryć przed zakusami władz rosyjskich.



Obraz cudowny Matki Boskiej w Leśnej

W parę lat później, zacny kapłan i patrjota, dzieląc los wielu innych, został wywieziony i zmarł na wygnaniu.

Najskrupulatniejsze i wszechstronne badania stwierdziły autentyczność tej wersji.

Triumf prawdy nad krzywdą...

A gdy teraz, jak przed laty, ciągnąć będą do Leśnej tłumy wiernych, niechaj pomną, że, jeśli ojcowie ich życie i mienie swe poświęcali w obronie wiary i dla miłości ojczyzny, tak samo i oni, a także i ich potomkowie, winni zawsze być gotowi do podobnej ofiary.

Prezydent Rzeczypospolitej w Krakowie i na G. Śląsku



Na Wawelu przygotowano królewskie komnaty



Przyjazd Prezydenta Rzplitej do Krakowa

„Zasługą ogromną ludu górnośląskiego było wytrwanie. Odcięci byliście od reszty narodu przez przeszło pół tysiąca lat, a zdołaliście zachować tak język, jak obyczaj polski — i przechować w sercach waszych uczucia gorące dla swojej Macierzy. Potrafiliście to uczynić, pomimo, że oderwać was od niej — nie tylko politycznie, ale i duchowo — usiłowano przez szereg wieków za pomocą dokładnie przemyślanej akcji i systematycznej pracy...

Za to wiekowe wytrwanie — i za ów poryw należy wam się wdzięczność całej Polski, z którą dzięki tym cnotom waszym zostaliście nierozerwalnie złączeni...

Wytrwałość Wasza i Wasza zdolność do bohaterskiego wysiłku zapewnia ziemi śląskiej coraz piękniejszy rozkwit. Rozkwitu tego po was się spodziewam, rozkwitu tego jestem pewien...

A pamiętajcie, że ziemia wasza tak jest przez naturę uposażoną, że tu wytwarzają się wartości ogromne, które niezbędne są nietylko dla Was, ale i dla całej Polski. Rozkwit Śląska stanowi o rozkwicie całej Polski i o jej potędze“.

(Z przemówienia Prezydenta Rzplitej w Królewskiej Hucie).



Odsłonięcie pomnika „Powstańca śląskiego“ w Królewskiej Hucie



Rabinat krakowski też uroczyście witał Prezydenta



Prezydent Rzplitej przemawia w Królewskiej Hucie

Legjon amerykański w Paryżu i w Warszawie

Uroczystości przyjęcia Legjonu amerykańskiego we Francji obfitowały w momenty podniosłego nastroju. Odano hołd zmarłym towarzyszom broni, a że grób Nieznanego Żołnierza spoczywa pod łukiem triumfu wielkiego wodza Francji, Napoleona, sięgnięto więc również do wiekopomnych jego kampanij, które, podobnie, jak Wojna Światowa, połączyły narody w braterstwie broni. Na ilustracji naszej widzimy właśnie wspaniałą rewję historyczną, która się odbyła na błoniach Fontainebleau, ostatniej rezydencji Cesarza. Na pierwszym planie stoi polski szwoleżer, odznaczony przed chwilą orderem Legji Honorowej.

Pomnąc, iż w bohaterskim wysiłku narodów podczas Wojny Światowej również i Polacy odegrali zaszczytną rolę, Legjon amerykański wydelegował swych reprezentantów, którzy wespół z przedstawicielami Gwardji Kościuszkowskiej przybyli do naszej stolicy, by złożyc hołd przed grobem Nieznanego Żołnierza. Podniosła ta uroczystość przedstawiona jest na naszej ilustracji.

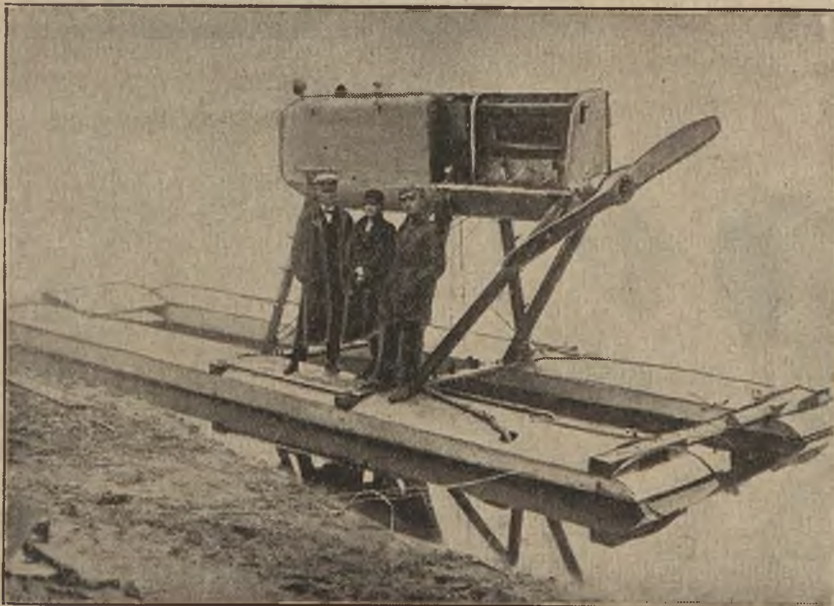


Stara „wiara“ w Fontainebleau



Delegaci Legjonu amerykańskiego z kpt. Zawodnym na czele składają wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie. W podniosłej tej uroczystości wzięli udział pomiędzy innymi poseł amerykański, Stetson i wojskowy attache amerykański, płk. Mc Kenny, prezes Izby Amerykańsko-Polskiej Kotnowski, oficerowie Sztabu Generalnego, przedstawiciele Ministerstwa Spraw Zagranicznych i wielu innych

Na podbój Oceanu



Ślizgowiec „Stenor“ konstrukcji polskiej, na którym dwaj śmiałkowie — Polacy zamierzają dokonać podróży przez Ocean do Ameryki. Jeżeli odwaga ich doprowadzi do zwycięstwa, będzie to naprawdę „wyczyn“ sportowy w szlachetnem i wielkiem tego słowa znaczeniu, przyczyniający się do rozsławienia Polski po świecie



Nowy poseł sowiecki p. Bogomołow przybył przed kilkoma dniami do stolicy i objął urzędowanie

Kobieta w karykaturze

Błagamy was, miłe czytelniczki, nie bierzcie nam za złe, żeśmy obrali tak drastyczny temat i zgóry uprzedzamy, że dworować sobie z was nie będziemy.

A gdybyście nawet i dostrzegły choć cień satyry w naszych słowach, toć nie gniewajcie się, bo wypowiedzieliśmy je li tylko z miłości i życzliwości.

Wszak nawet i Łukasz Górnicki powiedział, że „miłujemy te ludzie, którzy bywają przyczyną naszej pociechy" (pociechy — w sensie śmiechu).

Kobieta była zawsze bogatym tematem do wszelakich rozważań.

Nie wdając się w tajniki przeżyć wielkich filozofów i satyryków tego świata — a pewnie niejedną mieli ubóstwianą, której na klęczkach hołd oddawali — konstatujemy, że i oni nie szczędzili gorzkich słów kobiecie.



GAVARNI: — Gryzetki.

Prawda, że niejedni z nich wypowiadali się niepochlebnie o całym rodzaju ludzkim, jak boski Platon, który określił ludzi, jako „zwierzęta o dwóch nogach bez pierza".

Podobnie myśląc kategorjami zoologicznemi, Symonides uważał, iż kobieta, „co od małpy czerpie swe pochodzenie, i ta najczęściej się spotyka, lepszą jest od psów — bo taka lubi obmowę, jeśli od klaczy pochodzi, jest zalotną i niechlujną (?) i szkoda tylko, że do pszczoły podobna, tak rzadko się trafia, bo ta ze wszystkich najlepsza".

Przesadził pewnie Eurypides, gdy mówił, że kobiecie żałowałby wyżywienia i odzienia, bo nie warta żadnych starań (czyby nie stracił za dużo na ten cel?).



CH. LEANDRE: — Królowa Wiktorja.

Od czci i wiary odsądził ród niewieści La Bruyère, twierdząc, iż „kobieta bardziej lubi pieniądze od przyjaciół, a kochanków więcej niż pieniądze".

Boileau, choć małe na rzecz niewiast uczynił ustępstwo, stwierdził jednak, że „ze wszystkich zwierząt, najbardziej podobne do człowieka jest kobieta".

A najkrócej z niewiastą rozprawił się Nietsche, gdy radził, aby „do kobiety podchodząc, nie zapominać kija".

Biedna kobieto!



L. METIVET: — Pojadę, ale taksa od kilograma...

Szczęście twoje, iż jeśli tyle o tobie powiedziano, nie szczędząc goryczy, to nie mniej i hymnów wyśpiewano na twoją cześć.

Podobnie, jak w literaturze i filozofji, kobieta jest ulubionym i nieuniknionym tematem mistrzów plastyki, którzy w niej widzieli uosobnienie piękna, boć piękność, jak twierdził pewien myśliciel, jest obowiązkiem kobiety.

A cóż jeśli się kobieta wyłamie z tego obowiązku, lub gdy pod powłoką piękna cielesnego ukrywać będzie zło?

Tu znów otwiera się pole dla satyry, która tem silniej biczuje, jeśli zobrazowana jest w formie plastycznej, gdyż jest dostępniejsza dla szerszych mas, wydobywa bowiem potwornie zwiększone wady postaci, czyniąc ją groteskową, lub w jasnej alegorji, bądź w krótkim podpisie zamyka całą syntezę myśli.



A. LEFEVRE: — Nic innego brzydkiej nie pozostaje...

To właśnie jest środkiem i celem karykatury.

Karykatura, jeśli nie liczyć ostatnich dziesiątków lat XVIII wieku, jest wytworem ubiegłego stulecia.

Satyra plastyczna była ongiś zawarta jedynie w alegorycznych dodatkach do zwykłego ujęcia tematu, (jak naprzykład figura szatana, celem wyobrażenia łączności pomiędzy daną postacią, a symbolem wszelkiego zła), a jeszcze częściej, jak kropka nad i, była opisana słowami nad każdym z bohaterów.

Kobieta już w wiekach średnich, stała się ulubionym tematem saty- ry, w której na wzór twierdzenia pierwszych chrześcijan, wyrażano myśl, iż niewiasta jest przyczyną wszelkiego grzechu.

Chętnie więc wyobrażano ją w towarzystwie szatana, którego była narzędziem.

Czemże mogła wojować kobieta której rola społeczna była tak ogra- niczona, iż, w fizjologicznem zna- czeniu, traktowano ją jedynie jako matkę, a w fizycznem — jako słu- żebnicę.

Tak dalece ograniczona istota mo- gła walczyć jedynie przez pokusę cielesną, instynktownie bijąc w ten sposób w najsłabszą stronę męż- czyzny, dążąc zresztą do bardzo prymitywnych celów użycia.

Małe zwycięstwa (o męska słabo- ści!) zachęcają do dalszych, powoli więc kobieta, która raz poszła po tej drodze, powiedzmy poprostu rozpusty, dalej po niej dążyła, a celem jej była chciwość lub żądza władzy.

A gdy nie była piękna?

Widząc, iż natura główną jej broń wytrąciła z ręki, energiczniejsze, stawały się megerami, dążąc do zła dla samego zła, tym razem w ofi- cjalnem przymierzu z szatanem, najczęściej w formie czarów i male-



A. RAPP: — Gdy ni młoda ni przystojna, czasem kieszeń bywa hojna.

ficjów, które żywiołowo wprost działały na ówczesną prymitywną umysłowość.

W miarę postępu cywilizacji, kie- dy chęć użycia jęła przybierać co- raz bardziej wyrafinowane formy, cielesne piękno kobiety zaczęło nabierać coraz większej wartości.

Idealizowali ją artyści Renesansu, a satyra wyłącznie zajęła się zjawi- skami rozpusty, w których kobiecie oddano główną rolę.

O ile jednak w średniowieczu rozpusta była surowo piętnowana, o tyle, w miarę dalszego rozwoju cywilizacji i równolegle wzrastają- cego rozluźnienia obyczajów, roz- pusta stała się uświęconym i nie- odzownym atrybutem dobrego to- nu.

Satyra więc, a zwłaszcza gdy mo- wa o kobiecie, tępiąc powoli swoje ostrze, przeobraziła się we wdzię- czne obrazki, w których miejsce szatana, towarzyszącego kobiecie, zajął figlarny amorek.

Który zresztą z artystów ośmie- liłby się na jakąkolwiek satyrę oby- czajową, gdy prace jego były sowi- cie opłacane przez możnych ówcze- snego świata, wśród którego i dla którego szukali modeli.

Inne sfery społeczeństwa, trzy- mane na uboczu, utorowały sobie drogę do szerszego i bujniejszego życia dopiero w dobie Rewolucji.

Od tej chwili mieszczaństwo za- częło się piąć na nieznane sobie wyżyny, równie usilnie dążąc do u- życia, gdy pełną przed sobą ujrzały czarę.

A że poczciwe mieszczuchy czy- niły to nieumiejętnie, satyra więc zdobyła tu sobie niezmiernie boga- ty materjał.

Od tego czasu właśnie rozpoczy- na się karykatura, jako forma sa- tyry.

To jedna strona mieszczaństwa.

Obok niego i równocześnie po- wstaje „mało-mieszczaństwo“, to jest ta sfera, która, nie nadążając za ogólnym rozpędem dynamiki



CH. LEANDRE:—Dopiero w tym roku panienki nasze zaprowadziliśmy na wystawę sztuki.



J. FAIVRE: — Spieszysz się! Tobie się pali, po- czwaro! A teraz to ci się pali?...



GIBSON: — Czy kobieta ma serce?

społecznej, cicho zastygła w jednostajnem życiu.

Cóż to za bogaty temat dla satyry!

Tam, na wyżynach, dotychczasowy wielki świat napróżno buduje tamy przeciw burzącemu żywiołowi mas; niżej, przeskakując przez szczeble, a więc komicznie, wbrew logice rytmu, pnie się mieszczaństwo; a jeszcze niżej, skostniałe mamuty małomieszczaństwa, których cnoty, w zestawieniu z ogólnym rozmachem, sprzeciwiają się rytmowi życia, pobudzając do śmiechu.

Tu, i kobieta, żwawo podążając za mężczyzną, wchodzi w orbitę walki, rozpycha się łokciami na trudnej drodze życia, a gdzie nie może inaczej, stosownie do przykazania matki-natury, używa podstępnej broni kobiecości.

Skala jej życia i przeżyć stanowi równie bogaty materjał dla satyry, jak wegetacja tamtej, dla której cały świat zamyka się pomiędzy oknem z firaneczkami, kuchnią i śpiżarnią.

Zjawisko, które nazwiemy demokratyzacją użycia, idzie w parze z rozwojem życia gospodarczego i społecznego.

Kobieta podnosi hasło emancypacji.

Kobieta się wyzwala i równocześnie rozwija się skala jej wad.

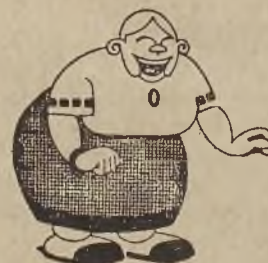
Wady jej wprawdzie, to wady każdego człowieka, przewaga jej, to przewaga płci, którą parodoksalnie zowią słabą.

Obok kobiety wyzwolonej — jest ta, która popadła pod jarzmo życia, wskutek braku siły lub szczęścia.

Lecz gdy śmiejemy się z komicznie wykoślawionej postaci wyrobnicy lub ze starej, znękanej kurtyzany, obrazek ten, choć groteskowy, nasuwa nam smutne refleksje, albowiem trudno śmiać się z pokonanego.

Satyra niemiłosiernie chłoszcze współczesną kobietę, nie szczędząc pięknej, dobrej lub rozumnej.

A jeśli nadmiar dążenia do użycia zachęcił nawet poważną naukę do szukania tych sposobów, któreby mogły przedłużyć młodość i życie, to podobnemu, ultra-modernistycznemu wbrew naturze i jej rytmowi stworzonemu hasłu, wtórować musi nieodłącznie satyra i śmiech.



— I potwora też szuka amatora...

Jedynie rozluźnienie obyczajów, które w miarę emancypacji, a zwłaszcza po wojnie, stało się nagminnie panującą cechą doby współczesnej, dyktuje satyrykom podobnie, jak w XVIII w., wdzięczne i frywolne obrazki, w które najwięcej obfituje dzisiejsza karykatura francuska.

Trudno w tak krótkim zarysie wyczerpać podobnie bogaty temat, jaki daje nam niewiasta.

Pragnąc jednocześnie usprawiedliwić się przed naszemi czytelniczkami, oświadczamy uroczyście, że piękna, czy brzydka, rozumna, czy głupia, dobra, czy zła, cnotliwa, czy rozpustna — kobieta, choćby była uosobnieniem siedmiu grzechów głównych i tysiąca ich derywatów i była przedstawiona w najzłośliwszej formie, nigdy nie przestaje być kobietą, a jeżeli mężczyzna ją bieczuje (zaleca się w znaczeniu przenośnem), to tylko dlatego, że myśli w prostocie ducha, iż ujrzy ją wreszcie taką, jaką sobie idealizuje.



— Jakto? Więc miłość moja ci nie wystarcza, że szukasz kochanek...

Współczesne „Gracje“ i „Królowe“ sportu

Rozumiejąc wagę i znaczenie sportów, rozwijających sprawność cielesną wśród społeczeństw powojennych, i pragnąc popierać je w myśl słusznej i jedynej zasady: „w zdrowem ciele — zdrowy duch“, nie możemy pomijać milczeniem tych objawów, które są wyrazem degeneracji sportowej i nie mają nic wspólnego z estetyką i kulturą ciała, o co przecież w każdym ze sportów niemniej chodzi, niż o wszelkie inne walory.

===

Dość popatrzeć na „wyczyny“, które ilustrujemy specjalnie w tym celu, aby uwydatnić całą ich szpetotę, by, otrząsnąwszy się, zawołać.

— Brr!

W istocie „ciężka“ atletyka!

Kobiety, tarzające się po ziemi, nurzające się w piasku areny cyrkowej w dziwacznych figurach, sapiące i zapocone — oto obraz, godny, zaiste, protokułu policyjnego, po którym winien nastąpić zakaz, nie pozwalający na podobne pohańbienie zmysłu estetycznego u ludzi.

I co komu z tego przyjdzie?

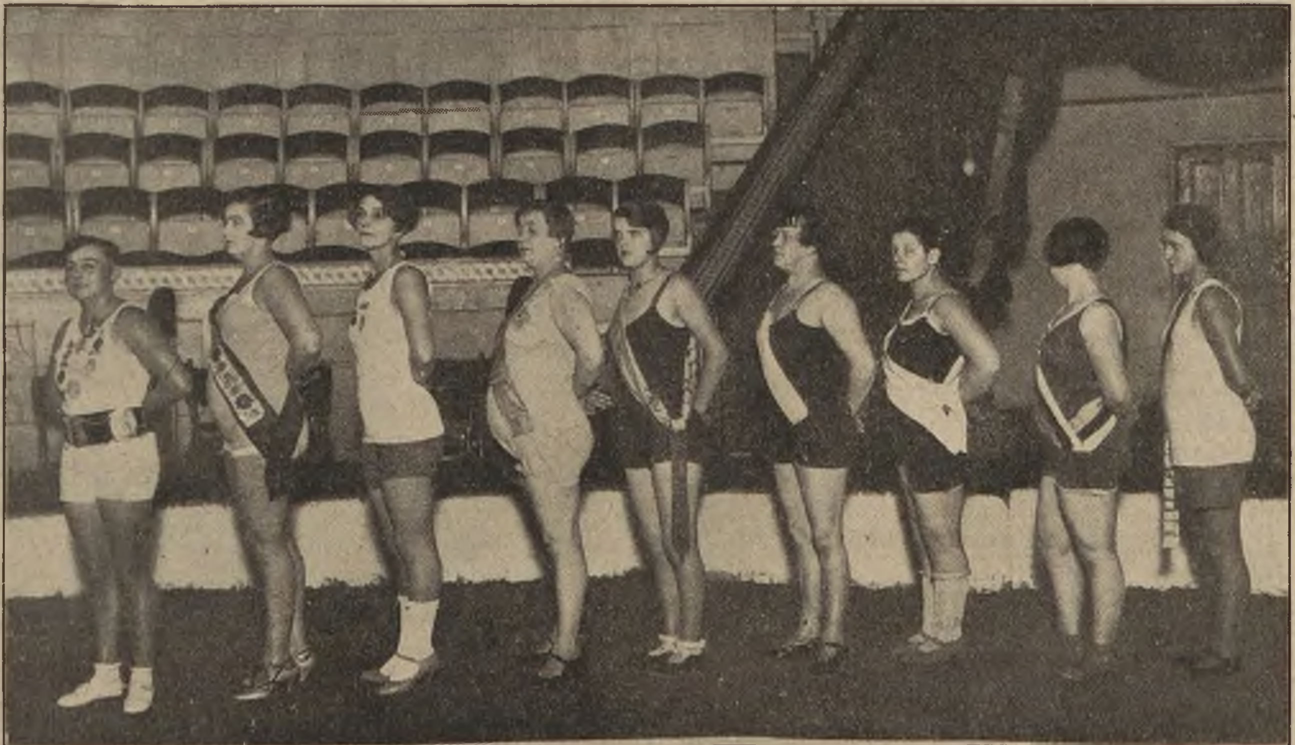
Mężczyźnie chyba to, że raz na zawsze obrzydzi sobie tego rodzaju płeć piękną, kobieta zaś, o ile w ten sposób pragnie się pozbawić się kilku nadmiernych kilo tuszy, to lepiej zrobi, gdy zastosuje kurację odtłuszczającą za pomocą reklamowanych obecnie wałków lub chodzenia codziennie rano na czworakach (niektórzy lekarze zalecają taką metodę), lecz tak, by jej nikt nie widział.



„Ciężka“ atletyka wśród kobiet: Niezmiernie „wdzięczne“ pozycje podczas walk, które mogą wprowadzić w szał zachwytu ze względów „estetycznych“

Więc poco chodzić na czworakach publicznie?

I cóż to ma wspólnego ze sportem?



Defilada „królowych“ przed popisem: Jeżeli kto nie widział podobnych „gracyj“, niech spojrzy, a zamrze ze wzruszenia. Zwłaszcza jedna z „królowych“ pośrodku wyróżnia się wdziękiem i pięknem swej figury. Zresztą wszystkie, jedna w drugą, zachwycające...



„Fedora“ w Teatrze Polskim

Punktem kulminacyjnym dramatu Sardou jest gwałtowna miłość Fedory do Ipanowa. Miłość, która następuje po niepohamowanej i dzikiej nienawiści.

Fedora ma pewność, że Ipanow jest mordercą jej narzeczonego, chce go za to zgubić, pomścić się. Ale niema dostatecznych dowodów jego czynu. Postanawia zatem rozpocząć djabelską grę: rozkochać go w sobie, wydobyć z niego tajemnicę i oddać go w ręce policji. Istotnie osiąga swój cel: Ipanow przyznaje się do dokonanego przestępstwa. Ale zarazem Fedora dowiaduje się, że Ipanow zabił jej kochanka za to, że mu uwiódł żonę, że zbrodnia zatem nie była zamachem politycznym, że narzeczony jej — jej bożyszcze — nie kochał jej wcale, że zamierzał ją poślubić jedynie dla majątku. I na to wszystko Ipanow ma dowody w postaci listów miłosnych, pisanych przez zabitego do jego żony. I tego człowieka ona, Fedora, w mylnem przeświadczeniu, w szale zemsty zgubiła, ściągając na niego podejrzenie policji.

Po tem wyznaniu nagle zmieniają się uczucia. W miarę budzącej się nienawiści do zabitego budzi się gorąca miłość do Ipanowa.

To jest dla widza psychologiczną niespodzianką. Jakto? Tak odrazu?

Na to przygotował Sardou, ten wspaniały znawca sceny, przekonywujące argumenty. Fedora, powiada, jest słowianką wschodu, u której taka gwałtowna reakcja, niespodziewane i bezpośrednie przejście z uczucia nienawiści do miłości jest zjawiskiem psychologicznie prostem i naturalnem.

Tu kończy się dramat Fedory, który w pierwszych dwóch aktach interesował nas swoją kryminalną intrygą, a zaczyna się tragedja nieszczęśliwej miłości.

I akcja toczy się wartkiem i starem łożyskiem dramatów tego rodzaju. Fedora, nie mogąc przeżyć hańby rozpętanych przez siebie nieszczęść, sama wymierza sobie sprawiedliwość.

To jest przyczyną, dla której sztuka Sardou nie jest w całości dla współczesnego widza interesująca, ale nie należy zapominać, że Sardou napisał swoją „Fedorę“ w tym czasie, kiedy sztukę teatralną konstruowało się z myślą o jednej gwieździe, niemal dla jednej aktorki, nie troszcząc się o psychologiczną konsekwencję lub o resztę postaci, które nabierają kształtów manekinów, wprowadzonych w akcję jedynie dla zapełnienia pustych miejsc.

Rolę Fedory znakomicie odegrała Przybyłko-Potocka. Naprawdę gwiazda! Jej wysoki styl, umiejętność prowadzenia djalogu, niezwykłe skupienie wewnętrzne, sztuka wcielania się nietylko zewnętrznie, ale i duchowo w psychikę kreowanej przez siebie postaci, sprawiają, że na jej grę patrzymy się zawsze z zachwytem i nieustającem zainteresowaniem.

Z FILHARMONJI

W pięknie odnowionej sali Filharmonji warszawskiej rozpoczął się w ubiegły piątek 26-ty sezon koncertów symfonicznych, który w tym roku zapowiada się niezwykle interesująco.

Do programu dyrekcja wprowadzi cały szereg nowych dzieł; ciekawemi zwłaszcza będą koncerty oratoryjne. Zapowiedziany jest również udział wybitnych solistów. Słowem, sensacyj nie będzie brak.

Głównym dyrygentem będzie nadal Grzegorz Fitelberg, ceniony i wielce zasłużony kapelmistrz, który przed kilku dniami odznaczony został krzyżem oficerskim „Polonia restituta“. Obok Fitelberga stałymi dyrygentami będą: dyr. Emil Młynarski, Dołżycki i Oziminski.

Ogólne kierownictwo spoczywa w rękach wytrawnego dyrektora Chojnackiego, co wróży przyszłemu sezonowi koncertowemu najpomyślniejsze sukcesy.

Emes.



Nowy film polskiej produkcji



Dowiadujemy się, że nowy film polskiej produkcji „Przeznaczenie“ jest już na ukończeniu. Pomiędzy innemi wystąpią w nim wysoce utalentowane młodociane aktorki, Bianka Dodo i Musia Dajchesówna, których niezwykła gra i wyczucie sceny zainteresowały międzynarodowe sfery filmowe

Wynagrodzenie za scenarjusze filmowe

Wśród nawału filmów, których codziennie niemal przysparza nam światowa produkcja, coraz rzadziej spotkać można scenarjusze, zasługujące z punktu widzenia literackiego na wyróżnienie.

Artyści nawet coraz częściej protestują przeciw rozplenieniu się niemożliwych idjotyzmów, w których zmuszeni są występować.

Zagadnienie to tembardziej zasługuje na uwagę, iż wszystkie firmy o światowym rozgłosie, a zwłaszcze amerykańskie, przesadzają się w nakładzie olbrzymich kosztów, często wynoszących po kilka miljonów dolarów.

Obok całych miast, które specjalnie budowane są dla filmów, obok olbrzymich armji figurantów, biorących udział w inscenizacji tematów, niesłychanych wprost efektów technicznych, w których reżyserja znajduje pole do realizowania najśmielszych i najkosztowniejszych pomysłów, firmy przesadzają się w pjetyźmie, przy traktowaniu najdrobniejszych nawet szczegółów tematów, choćby naprzykład, jak dla „Chaty wuja Toma" przy wegetacji podzwrotnikowej, którą hodowano w kosztownie pomyślanych cieplarniach.

Specjalnie zbudowane hale szklane zawierały egzotyczną roślinność, która bujnie wrastała w umiarkowanym klimacie Kalifornji dzięki olbrzymim piecom i użyciu potężnych reflektorów, koncentrujących promienie słoneczne.

Obraz ten był filmowany w ciągu 2 lat, a sztuczna kultura, o której wspomnieliśmy, jest drobnym zaledwie szczegółem w kosztownem montowaniu całości.

Znany i popularny pisarz angielski, Andrew Soutar porównuje te koszty do wynagrodzenia, które pobierają autorzy scenarjuszów.

Pisarze, którzy przywykli nawet do znacznych zysków z wydawania swoich utworów literackich, uważają, że scenarjusz może być przypadkowym źródłem zarobku.

Hollywood realizuje około 800 scenarjuszów rocznie, które w średniem opłacane są po 5 do 6 tysięcy dolarów. Prawo autorskie za temat głośnej książki, która rozeszła się uprzednio w poważnym nakładzie, nie przenosi 10 tysięcy dolarów, a zdolny pisarz, któryby chciał zaangażować się na stałe do Hollywoodu, mógłby zarabiać około 700 dolarów tygodniowo.

Chętnie przyznać możemy rację angielskiemu pisarzowi, iż cyfry te istotnie są, minimalne w porównaniu do ogólnych kosztów produkcji i gaż niektórych „gwiazd ekranu".

Coby jednak powiedział Soutar, gdyby zbadał wysokość honorarjów literackich w naszym kraju, w którym, co prawda, autor dzieli rolę wydawcy i księgarza, nakład 5.000 egzemplarzy książki bywa rozsprzedany w połowie, a nakłady czasopiśmiennictwa naszej stolicy dorównać nie mogą poczytności organów prasy zagranicznych Pikutkowów.

GODNA UZNANIA INICJATYWA.

„Sensacyjny dramat erotyczny" (a nawet „erotyczno-sportowy"), wstrząsający dramat „krwi i łez", „fascynujący dramat bólu" — oto zwykłe dopiski do nie mniej sensacyjnych tytułów „arcy-super-hyper-filmów", pomiędzy którymi rzadko przeczytać można, iż „rozbójnicze przygody" jakiegoś „króla ekranu" dozwolone są dla młodzieży.

I nagle, wśród tej otchłani bólu, łez, krwi, erotyzmu, błota, nędzy wielkich miast i temu podobnych sensacyjnych bzdurstw taniej reklamy, padła skromna zapowiedź serji widowisk kulturalno-oświatowych, które będą wyświetlane codziennie na ekranie jednego z największych kino-teatrów stolicy „Colosseum".

Niezmiernie ciekawy ten cykl obejmuje filmy z dziedziny krajoznawstwa, historji, sztuki i t. p., do których, dla większego urozmaicenia programów, dodawane będą komedyjki, a nawet żywe atrakcje sceniczne w niedziele i święta.

Nareszcie!

Zrozumiano nareszcie, że poza publicznością, żądną przedewszystkiem sensacji, są jeszcze olbrzymie rzesze widzów, które najsłuszniej oczekiwać mogą od filmu spełnienia misji kulturalnej i dydaktycznej.

„RUDI" PO ŚMIERCI

Wdowa po sławnym aktorze filmowym Rudolfie Valentino opublikowała w tych dniach książkę p. t. „Rudi", w której opisuje, ni mniej ni więcej, tylko zagrobow^ życie Valentina.

Zmarły aktor ma brać udział we wszystkich seansach spirystycznych urządzanych przez jego żonę i zwierza się stronie „wtajemniczonych" ze swoich pozagrobowych przeżyć, myśli i zajęć .

Tak jest — zajęć, gdyż według relacji książki, Rudolf Valentino prowadzi po śmierci życie niemniej ożywione. Przedewszystkiem więc bardzo często bywa w kinach, gdy wyświetlane są obrazy, w których grał za życia i za pośrednictwem medjum George'a Wennera Valentino oświadczył, że wcale się nie zachwyca swoją grą



Trupy artystów kinematograf[illegible] to wędrowni cyganie. Wozy ich wprawdzie eleganckie „touring-cary" s[illegible]ęcej komfortowe, bo mieszczą nawet restauracje.





STROJE DOMOWE

Miłe panie! Pomyślałyście pewnie i o kapeluszu, i o narzutce, o sukience, a nawet i o odnowieniu futra — to wszystko jednak dla świata, a czy pomyślałyście już, coby przygotować sobie na długie wieczory jesienne i zimowe, gdy wolna chwila od dancingów pozwoli wam na wypoczynek w domu? Może to właśnie, choć pozornie skromniejsze, większą wam radość sprawi, niż zgiełkliwa sala tańca. A że moda i tu ma coś niecoś do powiedzenia, więc zabieramy głos.

Dzisiejszy szlafrok damski w bliskiem stoi pokrewieństwie z męskim domowym chałatem. Linja prosta, skromna, a nawet, wbrew ogólnemu prawidlu, powłóczysta, zakrywająca nogi do kostek.

Klasyczny typ szlafroka, prawie balzakowski (bez żadnej aluzji do wieku), krojony jest prosto, względnie z lekkiemi odchyleniami, kołnierz szalowy lub schodzący do samego dołu, sznur na wysokości bioder; rękawy proste i wolne.

Najprzyjemniejszymi materjałami są przeróżne ciepłe i miękkie tkaniny, a najbardziej dekoratywnymi są jedwabie w desenie drukowane z podbiciem na moltonie i podszyte crêpe de chine'm.

Tak zwane „déshabillé" są niezmiernie wytworne, jeśli zastosować do nich bogatą kolekcję velour'ów z przybraniem z futerka na kołnierzu, wyłogach i rękawach.

Gama kolorów — dowolna, jedyna trudność, która się tu nastręcza, to zadecydowanie, który z licznie prezentowanych kolorów odpowiadać będzie cerze, a nawet warunkom lokalnym otoczenia.

Wszystko — byle prosto i skromnie!..





Rozrywki

Dodatek tygodniowy „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego", poświęcony rozrywkom umysłowym, z nagrodami dla Prenumeratorów

ZADANIE MAGICZNE.

(Ułożyła L. K.)

Z następujących liter i wyrazów ułożyć wyrazy, któreby przy czytaniu ich w kierunku pionowym i poziomym, miały to samo znaczenie.

A A A
E I K
L Ł N N O
O O O
S R R

Znaczenie wyrazów: 1) ptak, 2) rzeka, 3) osoba duchowa, 4) zmysł, 5) zwierzę.

SZARADA.

(Ułożył „Staszek")

Zapadał cichy wieczór. Pierwsza druga na wzgórzu powoli znikała w zmroku. Trzecie czwarte unosiły się w powietrzu. Cichy trzeci wspak dolatywał od młyna, gdyby wyśpiewując trzeci wspak czwarty.

Jakże cicho i spokojnie...

— Cóż tu za błogość po tem życiu stołecznem — zauważył doktór swemu towarzyszowi. — Zawsze tu dążyłem, jakby do drugiej wspak czwartej wszelkiej szczęśliwości, a zwłaszcza w miłej gościnie u ciebie.

— Przesada, wszystko — przerwał mu wesoło towarzysz...

ŁAMIGŁÓWKA LITERACKA

(Zastąpić kropki słowami i wskazać autora)

Nie, to skandal, jakich mało!
— Cóż się stało, mój kochany!
— Zmarzłem, jak kość — to się...
A to dopiero...

Wystaw sobie, jestem w mieście,
Mróz, na niebie ani chmury,
A tu narodu ze...
Stoi i patrzy do...

Patrzę i ja na kominy,
Na dachy, precz do około,
Patrzę, z jakie pół...
No i nic nie widzę...

Więc pytam się najbliższego,
Tuż obok siebie sąsiada,
Co to się stało...
Nie wiem, sucho...

Pytam drugiego — nic, cicho,
Pytam babę — i ta nie wie,
Myślę sobie, pal ich...
Pójdę, bo już byłem w...

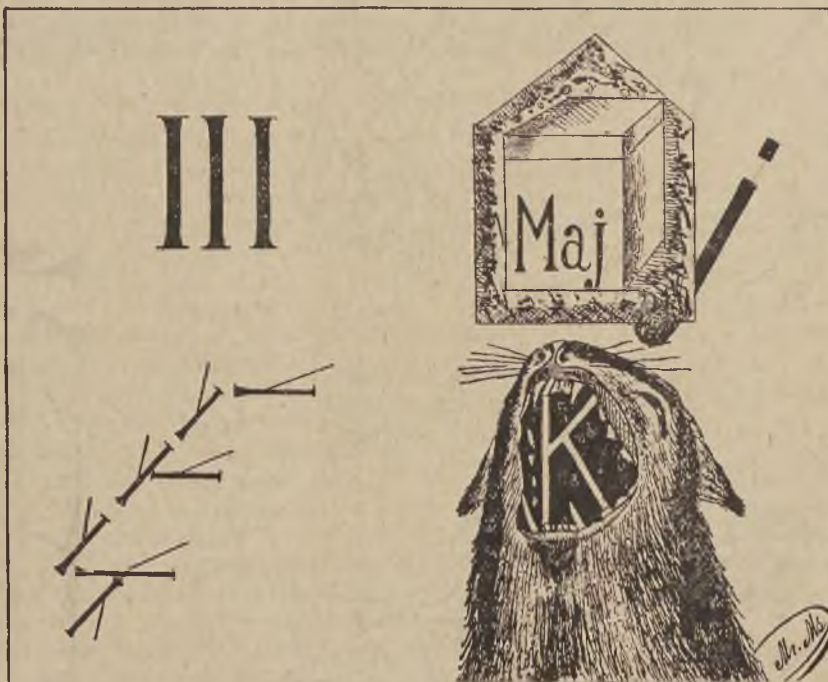
Albo nie — ludzie się roją;
Poczekam chwileczkę małą,
Przecież, jak głupcy nie...
Otóż, co się...

Jacyś dwaj się założyli,
Że, gdy kto stanie pod bramą
I spojrzy w górę — po...
Sto ludzi zrobi...

I proszę cię — trzy godziny
Tłum tak stał na środku drogi,
Z łbem do góry...
Najbardziej mi zmarzły...

Choć tłukłem jedną o drugą,
Bodaj ich djabli porwali!
— Dla czegożeś stał...
— A dla czego oni...

REBUS



BILETY WIZYTOWE

E. TATAR - GIFSEL

J. ZRELEKA

Jakim zawodem trudnią się posiadacze tych biletów.

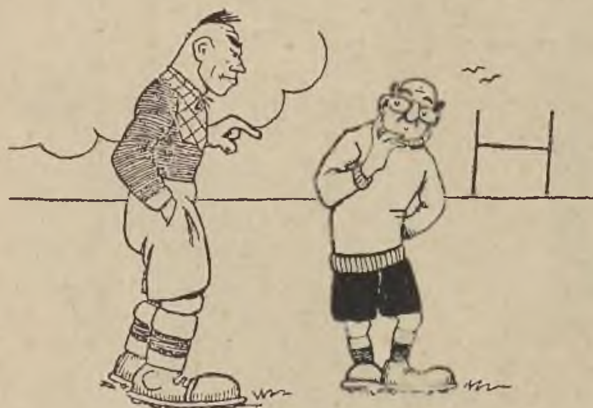
Kartki z humoru



— Sara, czy ty się Boga nie boisz, żeby dziecko w taki ukrop sadzać?
— Co ty wiesz? Takie małe to się nie zna na temperaturze.



— Co ja słyszałem? Pan się ośmielił mówić, że jestem łobuz.
— Co się Pan ciska? Może to prawda, ale ja tego nie mówiłem.



— Panie arbitrze, a pamiętaj, że jeśli nasi nie zwyciężą to z tobą będzie źle!
— Już mi i tamci to samo mówili.

TEŻ RACJA...

W szkole ludowej rozbierał katecheta z dziećmi treść „Ojcze nasz", a skoro doszli do czwartej prośby: „chleba naszego powszedniego", zapytał: „powiedz mi chłopcze, dla czego prosimy Boga o chleb powszedni codzienny, a nie o tygodniowy, albo miesięczny?" Pytany chłopiec nie umiał odpowiedzieć i stał zakłopotany, wtem wyrywa się inny i uśmiechnięty odpowiada: „Bo by nam zapleśniał".



— Samba! Ty słuchać: radio mówi że będzie mróz...



— Kon! Ja tracę pamięć...
— Co ty mówisz! A możebyś mi mógł pożyczyć 1000 złotych?

Nr. 13 Rok I.

Rozmaitości Literackie i Naukowe

Dodatek do Nr. 35 „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego"

Czy zwyciężę?

Idę ku wyżynom, pnę się ku niebotycznym szczytom, ku jaśniejącym w górze błękitom. Serce moje przepełnione ufnością i męstwem, lecz czy dojdę? czy nazwę to zwycięstwem?

Kalecząc ręce czepiam się ostrych skał, ciało moje poddane jest straszliwej męce, z ran obficie krew płynie, czy dojdę? czy też mnie sława minie. Straszliwie cierpiąc, do celu zdążam cierpliwie.

Straciłem z oczu braci swoich, ziemia i skały usuwają się z pod stóp moich, gorączka trawi biedne serce, w głębokich ciemnościach skały szarpię ciało, lecz dalej idę, choć śmierć znajdę może w skalnych przepaściach. I nie raz nad krawędzią przepaści staję, w oblicze śmierci patrząc, lecz tej się nie boję.

Pnę się coraz wyżej, wyżej... i widzę już piękne błękity, już niedaleko marzeń mych szczyty, tam na szczyt skały idę, gdzie orlęta gniazdo swe usłały. Trwogą nie przejmuje mnie spadający odłamek skały, ja pnę się ku słońcu, zwyciężyć chcę świat cały. Idę po zwycięstwo i nie cofnie mnie nawet męczeństwo... Z życiem chcę chwycić się za bary i walczyć, choćby w przepaść się stoczyć. Gdy ciemną nocą kiedykolwiek zbłądzę, głową o głaz uderzywszy, srogi ból wyrządzę, idę dalej.

Do świtu zdążam, który zdala widzę. Bądź błogosławiony, o świcie, dawno już śniony...

Tymczasem księżyc odmienił się już wiele razy, przedemną przewinęły się liczne obrazy, na ziemi minęło wiele godzin, zrodziło się wiele miesięcy i lat... a ja idę precz dalej; wiatr mnie w oczy piasek miota, ja dobywając resztki sił, zdążam przez wyrwiska i błota. Zimno tak przejmujące szarpie bezlitośnie, a ja idę ku jasności, ku wiośnie. Wypatrują oczy, gdzie szczyt jest wreszcie śniony, by usta wyrzekły „Jestem ocalony!"

W piersiach czuję nowe siły, czuję nowe męstwo, ręce ostatnim wysiłkiem chwytają się skały, by w śmiertelnym znużeniu usta wyszeptały „śmierć, albo zwycięstwo!"

— — — — — — — — — — — —

Tak człowiek pnie się do czynu, do sławy, spotykając na swej drodze same złośliwe zjawy. Lecz, ufając Bogu, wzrok kierujcie ku gwiazdom, one niechaj świecąc wskazują drogę wśród życia ciemności, niechaj wiodą po laury za zwycięstwo... do wieczności.

Z. Jastrzębiec.



Już za Sasów, a tembardziej w ostatnich latach Polski przedrozbiorowej, noszenie się z cudzoziemska należało do dobrego tonu. Starsze jeno pokolenia dochowywały wierności kontuszowi i czuprynom.

Nie odrazu wszakże zagranicznej tej modzie udało się zdobyć popularność w Polsce, zwłaszcza, że Niemiec był jej głównym inowatorem. W pojęciu zaś naszych pra-pra-dziadów, pludrak — Niemiec, powszechnie jeszcze zwany „kusym" pozostawał pod podejrzeniem, iż jakoweś z czartem prowadzi konszachty, a lud uważał, iż wprost grzechem jest utrzymywać z nim komitywę.

Do dziś dnia w Bocheńskiem zachowała się cudaczna przypowiastka ludowa, w ten sposób parafrazująca szóste przykazanie:

Nie grzesz porubsiwem
Bo to szkaradnie
Nie chodź z niemiecka
Bo to nieładnie

Powiedzenie to jest współczesne zapewne z opinją, którą w roku 1389 imć pan Mieleszko, kasztelan smoleński, z oburzeniem wypowiadał:

„Za Zygmunta I w tak bogatych szatach nie chodziwali, drugi bez nahajec (spodni), jak bernardyn, a soroczki (koszule), aż do kostek, a czapki aż do pasa. Ja sam, gdy się tak odzieję, to małżonka moja nacieszyć się nie może. Kiedy Niemiec idzie, albo żona jego postępuje, jak przez skórę skrzypie, szeleszcze, a piżmem wonieje. Panie w bogatych sukniach chodzą, a przedtem wżdy nie znano tej tam portugały, czy fortugały, a czepienie jakieś rucha się koło podołka. Niechby białoszyjki nasze postroiły się w dawne zapinania, a w sznurowaniu na zadu nosiły rozporki. Z niemiecka pluder nie używać".

Cobyście dziś wyrzekli, panie Mieleszko, gdyby wam zaprezentowano różne jakieś „kashe" i „velour'y"?

Również z zagranicy przyszła do nas za sasów tak zwana „rogówka", która w 100 lat później powróciła pod nazwą krynoliny.

A osobliwość to była wielka.

Rogówka była to spódnica z płótna „na trzech obręczach z wielorybich kości obszyta, na jednej w pas, na drugiej w kolano, na trzeciej w pół łydki, kształtem do wanny podobna".

Rogówka zatem, zdawałoby się, była aż nadto dostatecznym szkieletem dla paradnego stroju zewnętrznego.

Rogówka jednak była tylko „intermedium", pod nią bowiem nosiły ówczesne modnisie spódnicę „materjalną, letką lub przeszywaną wedle pory czasu", a na nią dopiero przychodziła suknia, z francuska zwana „robą".

Łatwo sobie wyobrazić, iż przy takim obwodzie dwie damy z trudnością mogły się wyminąć, a prawdziwą już tragedją było siąść we dwie do karocy albo w ścisku za stołem. Nie rzadkie bywały wypadki, że przy uczcie — sąsiadowi „Niemcowi" ściągały fryzurę lub zmykały z głowy perukę".

Bywały atoli wypadki, — opowiada Kitowicz — że rogówka przynosiła prawdziwy pożytek: w zwadliwych kompanjach, bywała fortecą, za którą niejeden tchórz się chronił, „skoro rzecz wytoczyła się do szabel, a gdy drudzy łby sobie karbowali, nosy, policzki albo ręce obcinali, on w dobrem zdrowiu pod rogówką przesiedział zawieruchę, tam go bowiem nikt attakować nie śmiał, ile kiedy go nakryła jedna, drugie, w kąt zbite na kształt wałów i szańców rogówkami nie dozwalały przystępu".

Pomyśleć tylko, coby się działo z „rogówkami" na dzisiejszych dancingach...

Przymówki

Grzmot październikowy,
niestatek zimowy

Miesiąc październy —
marca obraz wierny

Na św. Franciszka
(4 października)

Na świętego Franciszka
chłop już nic w polu nie zyska

Po świętym Franciszku
chodzi bydło po owsisku

Na św. Brygidę
(8 października)

Po świętej Brygidzie
babie lato przyjdzie

Na św. Edwarda
(13 października)

W Edwarda jesień twarda
Gdy Jadwigę deszcz spotka,
to kapusta niesłodka.

Na św. Jadwigę
(15 października)

Kto sieje na świętą Jadwigę,
to zbiera figę.
Po świętej Jadwidze
są dojrzałe i grzyby i rydze.

Na św. Teresę
(15 października)

Na świętą Teresę
odziej się w bakiesze

Teresa, Jadwiga
bydło w polu ściga.

Na św. Galusa
(16 października)

Na świętego Galusa
nic się w polu nie rusza

*

Gdy razu pewnego zdarzyło się królowi Aleksandrowi napotkać w borach litewskich starowinę— leśnika, co choć 150 lat ponoć sobie liczył, a niemałą jeszcze krzepę okazywał, król, że był słabowity, z zadrością go zapytał:

— Powiedz no mi przecież, a chorowałeś kiedy?

— Miłościwy Panie — odrzecze patrjarcha — a jakżeby we mnie, nędzarzu, mogło się choróbsko utrzymać w takich niewygodach?

*

Gdy wady jakoweś do narodu przyrosną, wieki mogą przetrwać, a te często ponoć i na zawsze pozostaną.

Skarżymy się na przykład, iż mało dziś uwagi zwracają na wychowanie młodzieży i, gdy czasem widzimy, że oddaje się ona nałogom palenia i picia, niejeden ręką machnie i powie: „niechaj się wprawiają — potem, jak znalazł". Widać, że podobna zasada nie obca była i naszym dziadom, skoro w pewnym kalendarzu z roku 1743 spotykamy wielce zabawną przypowiastkę, w której opowiedziane jest o zaprawianiu młodzieży do picia od lat chłopięcych, by mogli gdy dojrzeją „choć beczkę wychylić".

A niepunktualność? O tym defekcie już w XVI wieku opowiada Łukasz Górnicki, w swem „O Elekcji, rozmowa Polaka z Włochem", przytaczając sarkastycznie, iż Polak tylko o dwie godziny się spóźnił.

W zapiskach pewnego Jezuity, księdza Bielickiego (XVIII wiek), znajdujemy, iż nuncjusz papieski zauważył Polaków: „ladajakie mosty, a śmiało po nich jeżdżą; pełno krzywoprzysięzców, a nikogo djabeł nie bierze".

Zbyt silne jest, może, wyrażenie o krzywoprzysięzcach. Miał tu prawdopodobnie ks. Bielicki na myśli, ludzi nieodpowiedzialnych i lekceważących dane słowo. A co do mostów... chyba jeszcze dziś coś o tem wiadomo.

U tegoż autora czytamy, iż widział on w Polsce „wsie różne, nazwiska woli mające i różnych szlachty wolskiej, Dobrowolskich, Krasnowolskich etc. Ale nikt w Polsce nie słyszał o jednej woli i o Jednowolskim".

*

Zmarło się ostatniemu z rodu Paców, gdy dokonał budowy okazałego pałacu w majętności swej, Dowspudzie, w Grodzieńszczyźnie, dzięki której zasłużył sobie na do dziś dnia popularne przysłowie:

Wart Pac pałaca,
A pałac Paca...

Szczególne nazwisko, bo jeśli, nie wiedząc nawet, ani o tem, że ostatni z Paców był generałem polskim, ani że antenaci jego wszyscy byli biskupami, senatorami lub hetmanami — powtarzamy dziś: „Wart pałac Paca"..., tak samo i ongiś, niewiadomo dlaczego nazwisko Pac przyrastało do przeróżnych przymówek.

Oto flisacy, co drzewo po Wilji spławiali, gdy odkryli na rzece niebezpieczne miejsce, gdzie wśród wirów wodnych sterczała samotna skała, nazwali ją „Pacem", mówiąc, że to „Pac łysinę pokazał".

A gdy do śpichrzów szczury się zakradły i nie małą wyrządzały szkodę, też pacami je nazywano, skąd ogólne później imię stosowane do szczurów.

Nazwisko to, choć zacne, istotnie jakoś widocznie prosiło się, by z niego żart uczyniono lub inną przymówkę.

W Pamiętnikach Imci Jana Chryzostoma Paska czytamy również anegdotę o Pacach. Było to, — opisuje Pasek — gdy wojska litewskie, co opowiedziały się za królem Janem Kazimierzem ucierpiały srogą porażkę od rebelizantów pod wodzą Lubomirskiego. Haniebna klęska zmusiła Litwinów do sromotnej ucieczki, w czem im nie przeszkadzano, ile że zbytnio każdy zajęty był łupem. Jeno starszyznę pojmano i prowadzono przed oblicze wodza.

Gdy tak stoją gromadnie, dalszych czekając losów, odezwie się wnet jeden z towarzystwa, nazwiskiem Pustoszyński:

— Więcej nam Pan Bóg dał, niżeśmy go prosili.

— Jakże to? spyta Lubomirski.

— A to prosiliśmy zawsze — odrzecze Pustoszyński — „da pacem Domine" (ześlij pokój, Panie); my prosili o jednego, a Pan Bóg nam dał aż 5-iu Paców.

Okazało się bowiem, że wśród jeńców 5-iu znajdowało się Paców, a każdy z nich znaczny szlachcic.

BLANKA VOGT *Nowela*

Jedno słóweczko

Nierozłączni przyjaciele Jakób Persac i Raul Doguois wszczęli pewnego dnia przy śniadaniu dysputę o cnocie kobiet. Jakób w nią jeszcze wierzył, Raul zaprzeczał kategorycznie by w jakimkolwiek wypadku istniała.

Wstawszy od stołu przyjaciele wciąż nie mogli wyczerpać zajmującego ich tematu i idąc zwolna bulwarem w pogodne zimowe popołudnie rozprawiali dalej.

— Wszystkie kobiety kłamią — dowodził Raul — nawet wtedy gdy są nam wierne. Chciałbym zobaczyć takiego, do którego kobieta należałaby wyłącznie duchem i ciałem. My łatwowierni mężczyźni kochamy kobietę taką jaka jest. One chciałyby ciągłych w nas zmian, i choć znajdują się w tych samych objęciach, za każdym razem właściwie oddają się innemu...

— Dla mnie to zbyt zawiłe — odparł Jakób. I jestem przekonany, że istnieją uczciwe kobiety. Zresztą takie znam.

— Et, bajesz! Naprzykład ta śliczniutka, która tu przed nami tak się śpeszy,

— Czy chcesz się założyć, że idzie na schadzkę?

Dość popatrzeć na sposób stąpania, nowczy, a zarazem trwożliwy, w który idzie. Zresztą, czy kobieta nie mająca nic na sumieniu ogląda się wkoło co chwila?

— Wiesz co, przychodzi mi na myśl znakomity kawał. Idźmy za nią krok w krok. Pomyśli ,że jest śledzona i popsujemy jej dzisiejszą randkę.

— Nie, lepiej zrobimy. Ja podejdę do niej i po cichu powiem jej jedno słóweczko.

— Jakie?

— Poprostu: „Pani, mąż jej wie o wszystkiem".



Jakób się roześmiał, ale po zastanowieniu się, odparł:

— A jeżeli jest niezamężna?

— No, mniejsza, zaryzykuję!

I Raul przyśpieszył kroku za nieznajomą.

— Szanowna pani — zaczął — daruje mi moją natarczywość. Przedewszystkiem pozwoli mi pani się jej przedstawić.

Nieznajoma spogląda na niego prześlicznemi, niebieskiemi oczami, pełnemi lęku.

— Słucham pana — mówi po chwili.

— Pani, mąż jej wie o wszystkiem.

Złożywszy głęboki ukłon, Raul powraca do przyjaciela. Jednak „kawał" zabawił go znacznie mniej, niż się tego spodziewał.

Urocza nieznajoma bowiem tak zbladła, tak przeraźliwie strworzonemi oczami na niego spojrzała, że gotów byłby gdyby chociaż spojrzała w jego stronę odwołać złośliwy i głupi swój żart. Ale młoda osóbka zwolniwszy kroku i opuściwszy głowę szła dalej nie oglądając się za siebie.

— Zły jestem na siebie — mówi Raul do przyjaciela. — To widocznie pierwsza jej schadzka i za gorąco wzięła moje słowa do serca.

— A co będzie — pyta Jakób — jeżeli ta mała teraz nie będzie miała odwagi wrócić do domu?

— Trudno — zawołał Raul. — W gruncie rzeczy postępek mój jest bardzo moralny: przeszkodziłem zdradzie małżeńskiej.

Nieznajoma weszła na most. Oparła się o filar i długą chwilę stała bez ruchu. Ciężkie łzy spłynęły po jej policzkach.

Jakób. widząc, że ociera oczy, podbiegł, postanowiwszy zdemaskować grę przyjaciela. Lecz w tejże chwili nieznajoma jednym ruchem skoczyła w nurty rzeki.

Jakób przerażony wołał na pomoc. Raul, który także nie umiał pływać, dowodził że i tak nie zdoła się jej wyratować. Zresztą dziwnie puste były dnia tego most i bulwary.

Po bezradnym bieganiu tam i z powrotem. gdy rzeczywiście już za późno było na ratunek, Jakób wyszeptał zbielałmi ustami:

— Popełniliśmy morderstwo.

WŁADYSŁAW LUDWIK EVERT

Handlarze spojrzeń...

(Opowieść naiwna i wielce prawdziwa)

W tej chwili jednak, dostrzegł jego manewr p. Seweryn, snujący się cały wieczór w pobliżu swej żony i, odruchowo niemal, skierował się jedwabnym krokiem ku grupie, złożonej ze swej pięknej jak nigdy i jak nigdy emablowanej połowicy, profesora Pakockiego i Zhorskiego.

— No i cóż — myślał idąc i podniecając samęko siebie, dodając sobie odwagi — no i cóż, podejdę i wezmę go na papierosa do palarni. Powiem: na cygarko drogi doktorku. Będzie musiał pójść. A Ali każę bawić gości — ooo.

— Witam pana, kochany doktorze — zaczął kordjalnie, właśnie chcę pana prosić... by pan dotrzymał towarzystwa mojej żonie — zakończył zupełnie dla siebie niespodziewanie, — gdyż ja muszę jej zabrać profesora. Na chwilkę ze mną, drogi profesorze — wszak pozwolisz Alo — kończył z błędnemi oczyma i ująwszy pod ramię Pakockiego, tymże jedwabnym krokiem wszedł z nim do palarni.

Olwing, który nie spuszczał dotąd oczu z karku p. Seweryna, począł teraz niedbale przyglądać się sufitowi salonu.

Zhorski stał milczący. Aldona sprawdziła szybko ich wzajemne, chwilowe, prawie odosobnienie:

— Tak późno pan podszedł — szepnęła.

— A pani — czekała — rzucił zduszonym głosem.

— Czekałam — na pana mego — głos drgał pełnią poddania.

— Ty! — rzucił rwącym się głosem Zhorski — ja oszaleję.

— Jutro — o piątej — u ciebie — szepnęła Aldona, rzucając mu jedno z tych spojrzeń, których tajemnice znają jedynie kobiety oszalałe z żądzy.

Podchodził ktoś. Zhorski ukłonił się i odszedł napół nieprzytomny. W tej chwili z palarni wybiegł p. Seweryn, ogarnął jednym spojrzeniem twarze żony i Zhorskiego i rzucił się niemal ku Olwingowi.

— Panie Olwing! Oni się porozumieli. Ja to czuję. Ja wiem. I poco pan pozwolił, dlaczego pan nie przeszkodził. I za co ja panu... jestem wdzięczny — potknął się na słowie „płacę“ pan Seweryn.

— Ależ mój baronie — odrzekł z flegmą Olwing — pan chyba wie: leczenie jest niczem innem, jak pomaganiem naturze.

— Pomaganiem naturze — pan Seweryn aż podskoczył z alteracji — to może ja mam kazać wstawić tutaj łóżko?

— Sądzę, — oświadczył pogodnie Olwing, — iż w danym momencie, a raczej w danym miejscu, byłoby to bezcelowe.

— Panie Olwing, panie baronie Olwing, jaśnie panie baronie Olwing — zapłakał niemal p. Seweryn — ona mnie chce rzucić, ona...

— Uspokój się pan — rzekł Olwing, dotykając końcami palców ramienia p. Seweryna, co odrazu dziwnie uspokoiło wzburzone fale jego uczucia — nie wiem czy, i kiedy, i z kim zdradzi pana żona. Ale obiecuję panu, że nie uczyni tego z doktorem Zhorskim.

Nazajutrz po przyjęciu u baronowstwa Pappenberg-Pappenholz, około wpół do piątej, przed drzwiami Dr. Zhorskiego zatrzymali się pp.: Olwing i Zanzulkiewicz. Ten ostatni nosił cylinder jak szklankę pełną wody i co chwila smakowicie oglądał własne lakierki, z widoczną lubością spoglądając na ich czerń połyskliwą.

Rzuciwszy okiem na zegarek, Olwing zwrócił się surowo do towarzysza.

— Nie omyliłeś się wczoraj?

— Nie, panie — odparł Zanzulkiewicz, pojąc oczy widokiem własnych lakierków.

— Powiedziała wyraźnie: piąta.

— Tak panie. Powiedziała szeptem: Jutro — o piątej — u ciebie. Trudno było słyszeć. Gwar. Starałem się.

— Jesteś nicpoń. Wczoraj wieczór, myśląc, że nikt nie widzi, stanąłeś na czworakach.

Pan Zanzulkiewicz począł mrugać powiekami.

— Bardzo trudno ciągle stać, — pojaśnił.

— To trzeba było usiąść.

— Trudno! Ja się staram — przekonywał płaczliwie karcony.

— Jesteś nicpoń... Ale, ale, co to za historja była z lokajem.

— Ja nic nie wiem — ja się staram, a on się tylko wywrócił, — pojaśniał chaotycznie, mocno zdekonfiturowany.

— Łżesz. Mówię ci, że łżesz. Lepiej się odrazu przyznaj.

— Ja się staram panie — twierdził swoje Zanzulkiewicz.

— Jesteś kiep. Poczekaj no, — przypomniał sobie — czy to przy tobie pan Sakulski spalił sobie smoking.

Zanzulkiewicz w milczeniu przestępował z nogi na nogę.

— Szelmo. Szelmo — mówił z naciskiem, bez zbytniego gniewu Olwing — zrobiłem z ciebie człowieka, dałem ci nazwisko...

— Zan-zul-kie-wicz — stwierdził dumnie karcony.

— ...bilety wizytowe, buty, ubranie, cylinder, butonierkę, a Ty! No, niech ja cię jeszcze złapię na czem. Zdejmiesz buty — pójdziesz na bosaka! Oo!

— Tak panie! Ja cóż. Ja się staram. — Twierdził swoje przerażony Zanzulkiewicz, połykając głośno ślinę.

— Pamiętaj! A teraz patrz. Co widzisz?

Zrozumiawszy, iż burza przeszła bokiem, pan

Zanzulkiewicz ożywił się odrazu; zdjął cylinder, zaczem znowu włożył go pieczołowicie na głowę, wyjął jedwabną pachnącą Ylang-ylang chusteczkę, (co wywołało niechętny grymas Olwinga) z kieszeni, rozłożył ją na podłodze, zaczem, na niej już, złożył cylinder, denkiem do góry, — wreszcie, zmarszczywszy czoło i nacisnąwszy wielkimi palcami obu rąk, podgardle, wbił oczy w drzwi i po chwili mówić zaczął.

— On siedzi w gabinecie. Przy biurku. Pali. Myśli. Przed nim leży list. W grubej kopercie. Nikogo niema. W przedpokoju siedzi człowiek. Drzemie. Na kolanach ma gazetę. Więcej nikogo niema.

— Rozkład meszkania.

— Kuchnia. Pusta. Drzwi zamknięte. Z kuchni drzwi. Dwoje drzwi. Jedno do stołowego, drugie na korytarz. Z korytarza na prawo drzwi do sypialni. Potem do gabinetu. Potem do poczekalni. Na lewo do dwu pokoi. Pokoje na prawo i pokoje na lewo się łączą. Więcej nic nie widzę. Nikogo niema.

— Czy napewno.

— Napewno panie!

— Przeczytaj list.

Pan Zanzulkiewicz przełknął ślinę, pociągnął nosem, postąpił parę razy z nogi na nogę, pochylił się naprzód, jakby chciał stanąć na czworakach, powrócił natychmast do dawnej postawy — i — milczał.

— No?

— Ja się staram, panie, ale ja... nie mogę — wyznał łzawie.

Olwing zdjął rękawiczkę z prawej ręki, położył ją dłonią w dół na głowie swego Factotum, w ten sposób, iż koniuszkami wielkiego i małego palca naciskał mu skronie, gdy środkowe spoczywały nad brwiami.

— „Iry — recytował płynnie Zanzulkiewicz — wiem, że popełniłem zbrodnię—więcej, szaleństwo. Wiem, że czynu mego będę żałował całe życie, że własnemi dłońmi gaszę sobie słońce, a jednak nie mogę, nie mogę inaczej. Nie chcę, nie umiem, nie mogę ,nie będę ci kłamał. Szaleję za inną, zwracam ci słowo, którego nie jestem godzien. Iry — zrozum...

— Dość — mruknął Olwing, cofając rękę — dalsze nic ważne. Słuchaj:

— Tak panie. Ja się staram — upewniał Zanzulkiewicz, zdeprymowany uprzedniem niepowodzeniem.

— Ja pójdę od tyłu. Gdy mnie zobaczysz przed drzwiami kuchni, zadzwoń i zajmij rozmową przez chwilę lokaja. Tylko żadnych figli. Rozumiesz.

— Tak panie — zgodził się natychmiast Zanzulkiewicz.

Gdy Olwing zbiegł szybko ze schodów, Zanzulkiewicz z widoczną satysfakcją stanął na chwilę na czworakach. Zerwał się jednak pośpiesznie, włożył cylinder, schował do kieszeni chustkę, położył wskazujący palec na dzwonku i patrzył w drzwi. Po dobrej chwili zadzwonił pewnie i głośno.

Olwing tymczasem, podszedł do drzwi kuchennych, jednym dotknięciem dłoni otworzył je, wszedł i zamknął za sobą. Zaczem, by nie robić hałasu, uniósł się na parę cali nad podłogą i popłynął, inaczej chyba tego nazwać nie można, ku przedpokojowi. Natrafiwszy na zamknięte drzwi — nie chcąc otwieraniem zwrócić niczyjej uwagi, przeszedł przez nie, by stanąć za plecami służącego, w chwili gdy ten, komunikując oschle, iż: „Pana doktora niema", wybierał się zatrzasnąć drzwi, przed ruchliwą twarzą Zanzulkiewicza.

Nieznaczny ruch ręki Olwinga i służący bez szelestu osunął się, zdrętwiały i nieprzytomny, na podłogę. Pan Zanzulkiewicz wsunął się do przedpokoju. Jednym ruchem swych małych rąk przesunął ciało służącego w kąt i kierowany bez słowa przez Olwinga, ściągnął kurtkę z leżącego, wdział ją na siebie, złożywszy uprzednio pieczołowicie cylinder na konsolce, a palto zawiesiwszy na wieszaku, zaczem zasiadł na krześle, na którem, do niedawna oddawał się drzemce, ledwo oddychający teraz, pogrążony w śnie, lokaj.

Wszystko nie trwało i minuty — odbyło się zaś tak cicho, że ktoś odwrócony tyłem, acz stojący obok, nie zauważyłby nic absolutnie.

Olwing skierował się ku gabinetowi, przez salonik.

— Pozdrowienie panu, doktorze, — przemówił wesoło, już w progu, wyciągając rękę.

— Witam pana — podniósł się z przed biurka Zhorski, maskując pomieszanie, wywołane niespodziewaną i niewygodną wizytą — odżałować nie mogę, że baron nie uprzedził...

Uścisk ręki przerwał w połowie zaczęty frazes. Zhorski wzorem służącego, osunął się, pozornie bez życia, na puszysty dywan, pokrywający posadzkę.

Olwing, wziął go jak dziecko, na ręce i bez widocznego wysiłku przeniósł do sypialni, gdzie złożył na otomanie.

Wróciwszy do gabinetu, wziął list z biurka, list w grubej kopercie, zaadresowany do p. Ireny Bożedarskiej — i — z pół szyderskim, pół smutnym uśmiechem, wrzucił go w krwawiącą czerwienią ognia, paszczę kominka. Zaczem, zapaliwszy papierosa, usiadł przy biurku na miejscu zajmowanem do niedawna przez Zhorskiego i — począł czekać.

Zegar wydzwonił piątą. Jeszcze minut parę — i krótki, mocny, nerwowy dzwonek szarpnął panującą ciszę. Jeszcze chwila — i Aldona Pappenholz-Pappenberg, zaróżowiona od szybkiego kroku, z błyszczącymi oczyma, z uśmiechem szczęścia i szału na ustach, stanęła w drzwiach gabinetu — by z lekkim okrzykiem zdumienia zatrzymać się u progu.

— „Spotkany nie jest oczekiwanym" — wymarzony tytuł dla romansu Judyty Gautier — pozdrowienia pani... quand même — powitał ją, wstając Olwing.

— Zdziwił mnie pan — opanowała się świetnie baronowa — zamiast doktora, mającego mi udzielić porady...

— Spotyka pani znajomego, który, niestety, nic jej nie udzieli, natomiast coś niecoś odbierze.

(D. c. n.)

Czy pokonamy przestworza nad oceanem?

Czasopisma świata całego — pisze p. Jerzy S. w „Moim przyjacielu“ — zamieściły niedawno sensacyjną wiadomość: Niemcy budują olbrzymi Zepelin, który będzie kursował między Hiszpanją i Ameryką Południową. W warsztatach mechanicznych w Friedrichshafen wre nieustająca praca: zapewniają, że wkrótce Zepellin ma być już zakończony.

Za sterowcem przemawiają: możliwość długich lotów bez lądowania (do 10.000 km.) oraz wielka siła nośna (do 5.000 kg.), co pozwala mu zabrać większą ilość pasażerów, i zapewnić im niezbędne wygody i komfort.

Aeroplan zato jest bardziej chyży. Podróż np. z Brestu do New-Yorku trwałaby zaledwie 34 godzin, tymczasem najszybszy parowiec potrzebuje na taki przejazd od 6 do 7 dni.

Główną przeszkodą pozostaje dotychczas kwestja ładunku. Weźmy np. słynny lot Francuzów Costes i Riguot, który za jednym zamachem pokonali olbrzymią trasę z Paryża do zatoki Perskiej wynoszącej zgórą 5450 km. Waga samolotu wynosiła 4157 kg., z czego 1.518 kg. przypadło na sam samolot, 250 kg. na załogę, żywność oraz bagaż i 2.209 na benzynę i smary.

Wybitny inżynier amerykański, Edward Armstrong, obliczył, że w podobnych warunkach samolot nie może lecieć ponad 4 godziny, czyli przelecieć więcej niż 700 km.

Więc, podczas podróży z New-Yorku do Plymouth, co wynosi 6000 zgórą kilom., aparat musiałby przynajmniej 9 razy zatrzymać się, dla napełnienia zbiorników benzyną i smarami.

Czy to jest możliwe w oceanie? Armstrong twierdzi, że tak.

Wobec tego projektuje on budowę pływających wysp, położonych w odległości 700 km. od siebie, któreby służyły samolotom jako stacje benzynowe. Będą to stalowe platformy o rozmiarach 370 × 122 m., wznoszące się nad poziom morza na 23 metry i przymocowane na miejscu zapomocą kotwic o wadze 6.000 kilogramów.

Ale, aby te wyspy stały się naprawdę wyspami, i umożliwiły lądowanie nawet podczas burzy, powinny one być nieruchome. W jaki sposób jednak można tego dokonać? W dowcipnem rozwiązaniu tego zagadnienia leży największa zasługa Armstronga.



Inżynier Armstrong, twórca pływającej wyspy

Pod platformą umieszczone są stalowe cylindry, zanurzone głęboko w morzu. Cylindry te są powiązane ze sobą zapomocą wielkich dysków, znajdujących się na znacznej głębokości, gdzie woda podczas najsroższej burzy pozostaje spokojną, a ciśnienie nie pozwala falom poruszyć wyspy z miejsca.

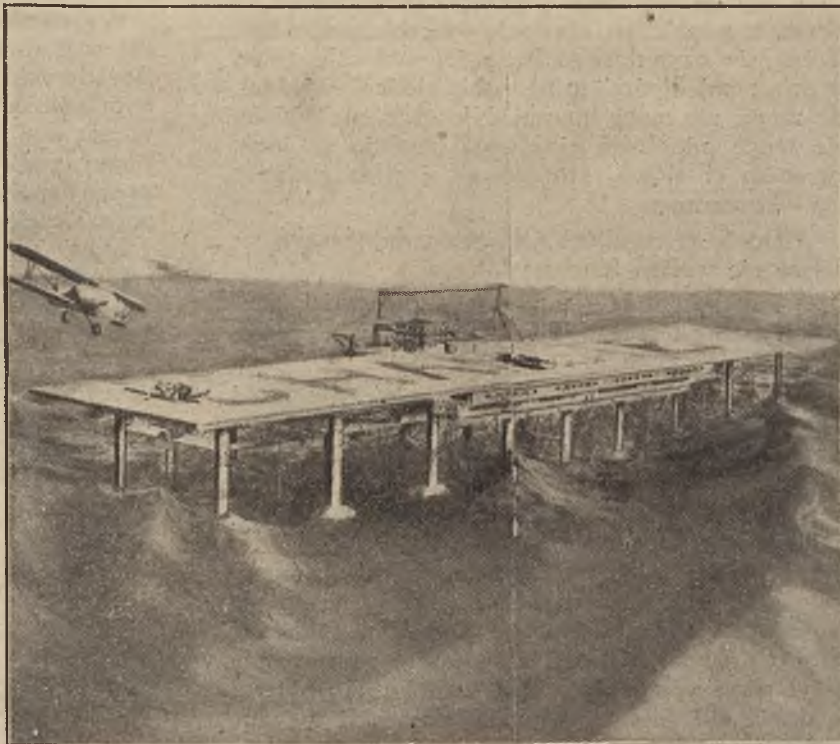
Na tych pływających wyspach lotnicy znajdą zapasy benzyny dla aparatów, mechanicy — warsztaty do potrzebnych reperacyj, zwyczajni śmiertelnicy — pasażerowie, luksusowy hotel, urządzony według wymagań nowoczesnego komfortu.

Tam również będzie zainstalowana potężna stacja radjowa, utrzymująca stały kontakt z samolotem, oraz reflektory i latarnie morskie, umożliwiające lądowanie w nocy.

Projektuje się 120 samolotów dla uruchomienia stałej komunikacji pomiędzy Europą a Ameryką. Przy takiej ilości samolotów liczba pasażerów może osiągnąć wcale poważną cyfrę — 160.000 osób rocznie. Nawet cena biletów została już ustalona na 350 dolarów wraz z utrzymaniem.

*

Co za fantastyczny projekt! — Grupa Amerykanów jednak, po zbadaniu projektu — dostarczyła już p. Armstrongowi potrzebnych na budowę środków; wyniosło to okrągłą sumę — 12 miljonów dolarów. Prace przygotowawcze do budowy są już w toku. Jeszcze kilka takich wysiłków — i przestrzeń transoceaniczna zostanie bezpowrotnie pokonana przez genjusz człowieka.



Model pływającej wyspy na oceanie

Wśród pism i książek

A. Z. Kamiński: MIŁOŚĆ ANNY OLENA. Warszawa, nakładem Bibljoteki Domu Polskiego.

Podobne bajanie i to nakładem Bibljoteki Domu Polskiego! Ładniebyśmy wyglądali, gdybyśmy dom polski zaopatrywali w podobną lekturę.

Tanie naśladowanie tandety Mniszkówny, zmodernizowane w zastosowaniu do modnego szału kinowego, Hollywood, gwiazda, ordynat, kresy wschodnie, polski Hollywood, a wszystko w przeplatankę z ckliwym romansem z nieprawdziwego zdarzenia, z uwagami z dziedziny społecznej, finansowej, gospodarczej.

A nadewszystko bezsensowna bajka, która służy za tło do powieści: kochankowie, którzy po latach nie poznają się, mimo iż codzień ze sobą obcują, a gdy wspomnienie o „pierwszym grzechu" wyrasta pomiędzy nimi, „on", choć gładki ordynat, nie poznaje „jej" i wyrzuca z pałacu.

*

Jerzy Sosnkowski: RADJOMIŁOŚĆ. Warszawa, nakładem Bibljoteki Dzieł Wyborowych.

Ol, Mat, Ita, Bör, Ki-Ra-Mi — oto bohaterowie tych nowel, których akcja ciągle splata się z dominującemi w dziedzinie kultury współczesnej — kinem, radjem, lotem, no, i z wieczną miłością.

Niesłychana dynamika, która cechuje twórczość młodego autora udziela się i czytelnikowi, który przerzuca z niekłamaną satysfakcją karty tych nowel, składających się na ciekawy dokument o światopoglądzie nowoczesnego bohatera doby ostatniej.

*

Małgorzata Sarfatti: DUX. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa.

Kogo nie nęciła ciekawa postać wodza faszyzmu, którego niepospolita energja wyniosła na najwyższy szczebel zasług publicznych. Skromny nauczyciel ludowy, dziennikarz „od wszystkiego", filozof nawet, zostaje mężem stanu, którego podziwiają wszystkie narody, a Włosi uważają za człowieka opatrzności. Szanowany przez monarchę, bałwochwalczo czczony przez naród, Dux, dzięki bujnemu i nieokiełzanemu temperamentowi, przez pewien czas był upatrywany na wodza komunizmu, mógł był zostać Leninem, gdyby nie pierwiastki zachodniej kultury, na których się wychował. To też, choć używał podobnych metod, nie skruszył, jak Lenin, jedności państwowej i społecznej, a przeciwnie, skrzepił ją trwałym cementem, elementów do niego czerpiąc z wiekowej tradycji.

Bogata indywidualność! Nad-człowiek ten, wychowany częściowo na filozofji Nietschego, powiada prosto o sobie: „Obejmując władzę nie zapomniałem o tem, że jestem dziennikarzem, i często a chętnie biorę kartki papieru, aby skreślić coś, co może zainteresować Włochów; ma to zewnętrzny wygląd not oficjalnych albo półoficjalnych, jak się to mówi, a w gruncie rzeczy są to małe artykuły, są to akty, wykazujące głęboką tęsknotę za naszem rzemiosłem".

Książka kończy się apelem do dziennikarzy faszystowskich, których „z uczucia braterstwa" ostrzega, iż „w tece redakcyjnej, kryje się często buława marszałkowska".

Niesłychanie ciekawe ujęcie tematu autorka zawdzięcza nie tylko własnemu talentowi, ale również dokładnej znajomości Duxa, z którym długie lata pracowała w jednej redakcji.

*

Artur Oppman (Or-Ot): PIEŚNI O SŁAWIE, tom III. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa.

Są młodzi krytycy, którzy zasłużonego nieraz poetę lubią z francuska nazywać „pompier", lekceważąc sobie jego bogatą twórczość, przesiąkniętą umiłowaniem tradycji. Stare miasto, czy epopea pod orłami Cesarza, powstanie listopadowe — to ulubione tematy poety, który, choć nie szuka nowych, a wielce może kunsztownych rymów i rytmów, umie wzbudzić szlachetną emocję, a o to przecież głównie chodzi.





Bibljoteka „Książek Różowych" i „Książek Błękitnych": Ostatnio wydaną książkę błękitną p. t. „Skarby na Czorsztynie" Kazimierza Piekarczyka zdobią piękne ilustracje Molly-Bukowskiej.

Z redakcyjnego biurka

Bolesławowi Wandmuntowi. Wierszy w tece redakcyjnej mamy co najmniej na 2 lata. Musielibyśmy, chcąc drukować wszystkie nadsyłane poezje, wydawać specjalny wierszowany dziennik, ukazujący się trzy razy dziennie. aby sprostać zadaniu. Wiersze Pańskie nie wyróżniają się niczem takiem, coby kwalifikowało je na wydobycie z tej topieli, jaka nas zalewa codziennie.

Łosiewiczowi Feliksowi. Owszem, zgadzamy się pod warunkiem punktualnych wpłat.

Rl. Rog. Do kosza.

Walentemu Czarneckiemu. Bardzo nas cieszy, że pismo nasze przypadło panu do gustu. Wdzięczni jesteśmy za słowa życzliwości i łaskawe poparcie.

Luci. Przykro nam, że pani tak szybko zapomniała o nas. Dziękujemy za miły liścik. Prosimy o porozumienie się z nami, chętnie służyć będziemy informacją.

Janowi Malinowskiemu. Dziękujemy i za to. Podzielamy pańskie zdanie, że w interesie redakcji i czytelników leży jednanie nowych abonentów i współpraca wszystkich. Im więcej przyjaciół i pomocy, tem lepszem będzie pismo.

St. Bobr. Charakter ładny, ale to nie pomaga. Do kosza.

Adolfowi Sawoszowi. Przedpłata na prenumeratę, nadesłana czekiem P.K.O., zapisaną jest: p. Sawosz za wrzesień, p. Al. Rutkowski za sierpień i p. K. Staszyc za wrzesień. Pan Al. Rutkowski zalega za wrzesień.

Józefowi Bychowskiemu. Za słowa życzliwości i łaskawe poparcie jesteśmy bardzo wdzięczni. Uczyniliśmy zadość życzeniom i natychmiast numery okazowe wyekspedjowaliśmy.

Kazimierzowi Paluchowi. Komplet numerów od początku możemy nadesłać po uprzedniej zapłacie. Cena, jak w prenumeracie, miesięcznie złoty 1.

Andrzejowi Wiśniowskiemu. Wdzięczni jesteśmy bardzo za życzliwość i poparcie. Zapisaliśmy pana na listę naszych najserdeczniejszych przyjaciół. Z wskazówek w miarę możności będziemy korzystali. Numery okazowe posłaliśmy.

Karolinie Kalitowej. Z polecenia pani, mamy nową prenumeratorkę (p. Marję Reindlową). Dziękujemy bardzo.

Romanowi Schmidtowi. Komplet od nr. 1—16 włącznie możemy posłać po uprzednim wpłaceniu zł. 3 gr. 50.

Józefowi Bychowcowi. Pod wskazanemi adresami natychmiast uskuteczniliśmy wysyłkę numerów okazowych, serdecznie dziękując za wydatną pomoc.

Marjanowi Preissowi. Za miły list bardzo dziękujemy. Komplet numerów od początku można nabyć po cenie prenumeraty. zł. 1 miesięcznie.

B. Kuczyńskiemu, stud. roln. Uniwerst. Pozn. w Radzyniu. Wdzięczni jesteśmy Panu bardzo. Numery posłaliśmy.

C. U. Niestety, powieść o „Kubie i jego przygodach" znalazła się w koszu. Z adresów skorzystamy.

Janowi Żuławie, chorążemu W. P. Braki uzupełniliśmy Wdzięczni jesteśmy bardzo za wydatną pomoc.

Andrzejowi Skrzytuskiemu. A jednak, z przykrością nadmienić musimy, że są tacy, którzy zalegają w opłacie za tygodnik, utrudniając pracę Administracji. Każdy czytelnik czy prenumerator winien uiszczać należność w terminie, nie zwlekać i nie czekać na napomnienie. Dziękujemy za miły list i podzielamy cenne zdania Sz. Pana.

Józefowi Cynamonowi. Nadwyżkę posiadanych egzemplarzy zechce Pan łaskawie użyć dla celów propagandy, rozdając je znajomym Może uda się Panu zjednać nowych abonentów. za co będziemy bardzo wdzięczni.

N. J. Nie skorzystamy.

G. Ł. Wypełnić i posłać do Tow. Ubezp. „Przezorność".

Janeczce. W tej sprawie udzielić Pani może informacji tylko wytrawny znawca leków. Osobiście radzimy się zwrócić do znanego kosmetyka. p. Wł Klimeckiego w Warszawie, ul. Niecała 5.

Alince. Na robótki również znajdzie się miejsce, ale nie wcześniej nim powiększymy rozmiary pisma. Wówczas dopiero będziemy w stanie odpowiednio rozszerzyć dział kobiecy.

Stefie R. Pisze Pani: „Kwiaty dzielisz: róże, chryzantemy, na pamiątkę całujesz ustami wilgotnemi..." Niebardzo jakoś to rymuje: chryzantemy — wilgotnemi, więc lepiej mu powiedzieć, żeby, szelma, wycierał usta przed pocałunkiem.

Autorce wiersza „Ninon". Pisze pani: „Wspomnienia płyną senne i miłość moja pierwsza". Oj, to bardzo niedobrze, gdy miłość płynie!

St. B. Z kilku nadesłanych wierszy skorzystamy. Dobre i na poziomie druku. Niech się Pan nie zraża ostrością naszego sądu, bo to jedyne lekarstwo na grafomanów i grafomanki, by obrzydzić im pastwienie się nad redakcjami i zasypywanie ich elukubracjami.

Zasławskiej. Chcielibyśmy wydostać rękopis z kosza i odesłać go, byle tylko pani sama przekonała się o słuszności naszej opinji. Pretensje doprawdy nieuzasadnione.

Zaniewskiemu. Dyndała jest na urlopie. Adresu udzielić nie możemy, gdyż proszono nas o dyskrecję.

Historyczna restauracja w stolicy

Kto lubi restaurację z tradycją, gdzie dziady i ojcowie niejeden puhar wychylili, niejeden dyskurs przyjacielski wiedli, ten z przyjemnością za bytności swej w stolicy odwiedzi jeden z najstarszych zakładów tego rodzaju — restaurację Millera na placu Teatralnym, róg Wierzbowej.

Miło i przytulnie jest tutaj.

Nowy właściciel p E. Jarry nie szczędzi wysiłków, aby starej firmie, nie mniej popularnej od Fukiera, przywrócić tradycyjny charakter lokalu śniadaniowego. I udaje mu się to w zupełności tem więcej, iż p. Jarry, jako gospodarz, cieszy się uznaniem i sympatją wszelkich sfer społecznych: obywatelskich, wojskowych, handlowych i t. d. Zna się na rzeczy świetnie. Wyborne stare wina, likiery, miody, koniaki, a do tego kuchnia, prowadzona pod osobistym kierownictwem właściciela, są na wysokości zadania i zadowolnić mogą podniebienie najkapryśniejszych smakoszów.

Wydawca: Polskie Biuro Wydawnicze. Redaktor: *Eugenjusz Rafalski.*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2.



Dziś wesołe życie mam —
Bo mi RADION pierze sam.

Panna Kasia Mądralska używa życia. Nie męczy się praniem, bo Radion wykonywa za nią całą pracę.

RADION
sam pierze!

„Rozpuścić Radion w zimnej wodzie, namoczoną przedtem bieliznę włożyć do rozczynu i gotować 20 minut, potem płukać starannie.

Bielizna staje się czysta i śnieżnobiała



Tarcie i szczotkowanie jest zbędnym trudem — niszczy bieliznę i ręce, a tak łatwo można tego uniknąć!

Idealny środek samopiorący

RADION

oszczędza bieliznę.